

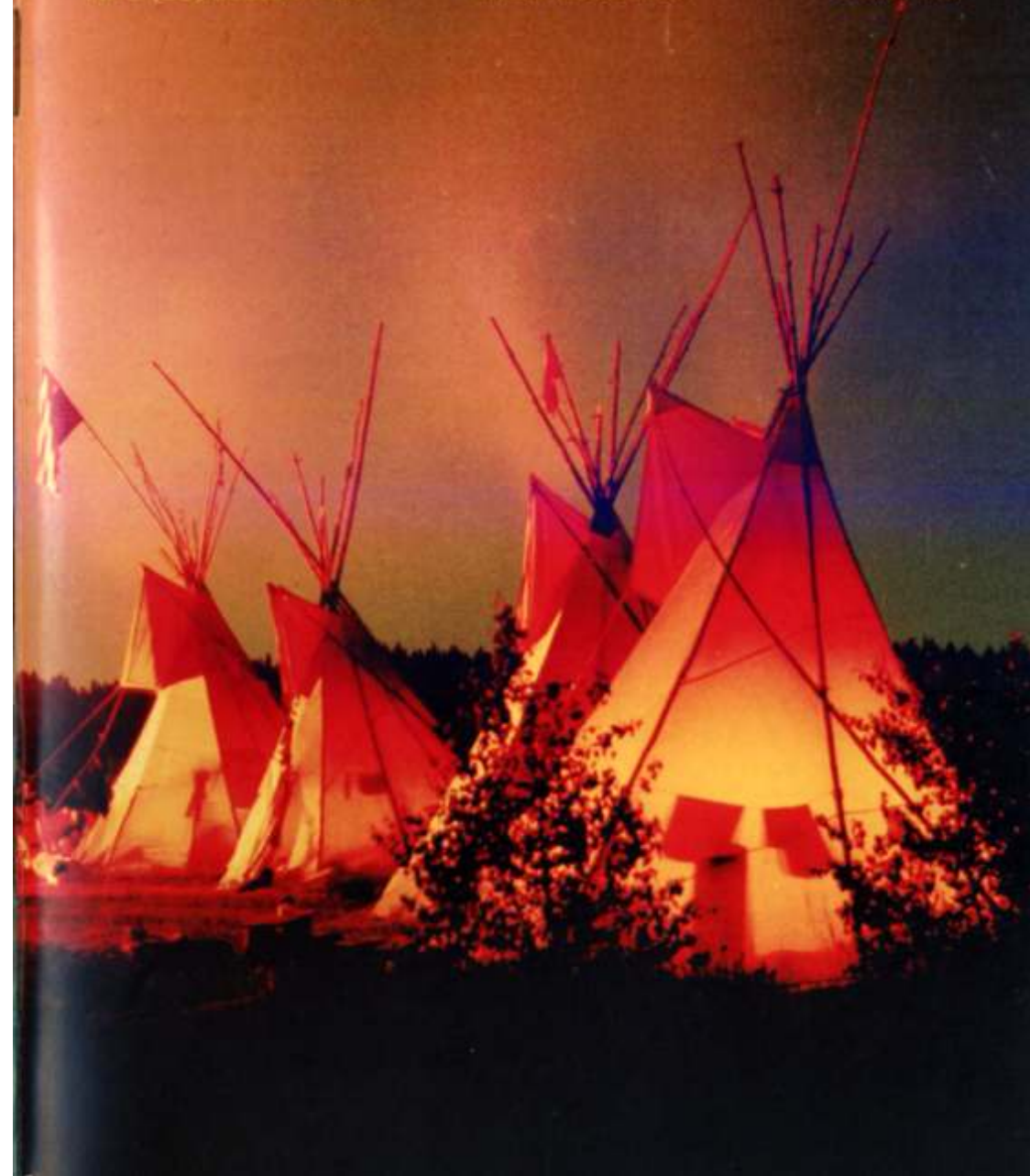
PISMO PRZYJACIÓŁ INDIAN

TAWACIN

Nr 3 (35) Jesień 1996

ISSN 1232-9207

Cena 4 zł



„Kiedyś interesowałem się Indianami. Tak po prostu” – zwierzył się Marek Nowocień w swoim felietonie, który gości na naszych łamach już od dziesięciu numerów. Zawsze jego słowa niosły ważką myśl i refleksję nad polskim Ruchem Indiańskim.

Tym razem Marek podjął temat jakości naszej przyjaźni polsko-indiańskiej, w czym porównują echa tegorocznego zlotu, który może okazać się ostatnim (na taką skalę). Tak czy inaczej był to egzamin dojrzałości i odpowiedzialności liderów Ruchu. Głupio przyznać, ale w większości obłany. To nie jest już ten sam Ruch, co 20 lat temu, z czego chyba nie wszyscy chcą zdać sobie sprawę. Z upływem lat pojawiły się nowe możliwości, ale również nowe wyzwania; kto wie, czy to nie ważniejsze.

Atmosfera na tegorocznym zlocie boleśnie uwypukliła pilną potrzebę wytyczenia kierunku i metod działania Ruchu, który – jeśli rzeczywiście chce być „ambasadorem” Indian w Polsce – winien przede wszystkim znać swoje zamiary, czego pragnie i do czego dąży.

W „Tawacinie” wyznajemy zasadę, że aby zostać czymś przyjacielem, najpierw trzeba go poznać. Dlatego głosy Indian mają u nas pierwszeństwo. Oto „biały” człowiek chce słuchać „czerwonego” człowieka! Celem „Tawacinu” (chcę wierzyć, że całego Ruchu także) jest więc poznanie tych ludzi, ich wiedzy i mądrości, a następnie dzielenie się tym z innymi. Powiedziałem.

Redaktor

TAWACIN

Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnaból (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Mirosław Dunin-Sulgostowski, Waldemar Kuligowski, Maciej Lewandowski, Dariusz Pohl, Aleksander Sudak i Zdzisław Zinczuk **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI, ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** M-DRUK Zakład Poligraficzno-Wydawniczy, ul. Konopnickiej 50, 62-100 Wągrowiec.

W tym numerze:

DINETAH – kilka słów o prastarej ojczyźnie Nawahów i bezcennych zabytkach ich kultury

Apacze w historii Południowego Zachodu – esej Donalda E. Worcestera o jednym z najbardziej znanych plemion indiańskich

Niepisane prawa Apaczów – fragmenty autobiografii Geronima

Polskie opisanie świata. Badania i penetracje terenowe – dokończenie eseju Janusza Jaskulskiego o odkrywaniu indiańskiej Ameryki przez naszych poprzedników w XX wieku

CROWFOOT. Wódz Czarnych Stóp – fragment historycznej książki Hugh A. Dempsey o wielkim wodzu i dyplomacie Czarnych Stóp

Nie jesteśmy Indianami, ale... – czyli o czym marzy Naczelny

Bieg Wolności 1996 dla Leonarda Peltiera i Ludów Tubylczych – sprawozdanie z tegorocznego biegu

Z Ziemi Indian – trzy sceny z życia wspólnot Kri w Kanadzie

Znani i nieznani – wyjątkowo szersze omówienie Indian Erie w artykule Donalda A. Grinde Jr.

Literatura „wroga” i „sympatyczna” – wywiad z prof. Ronem Carterem

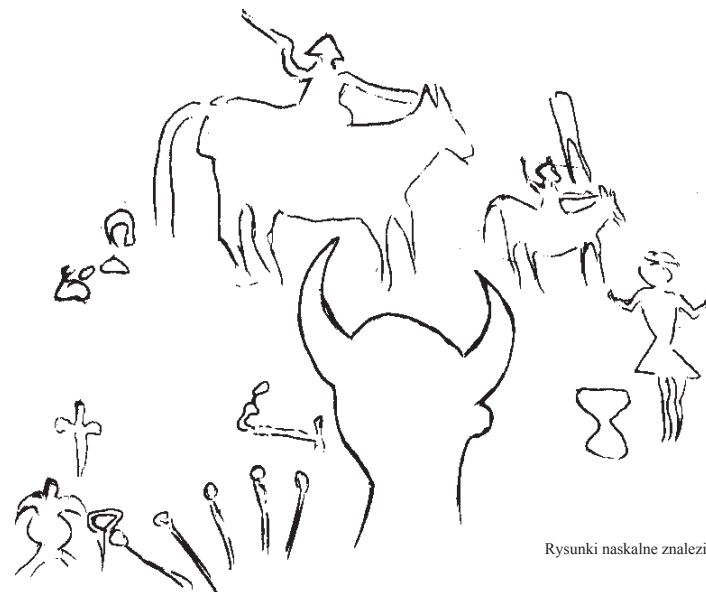
Ponadto: Zapiski z rezerwatu, zrób to sam, recenzje, listy i zwierzenia Cienia

Na okładce: Nocne klimaty na XVIII zlocie PRPI w Białymstoku. Fot. **Andrzej Rutkowski**

Autorzy fotografii barwnych na rozkładówce: **•ródełko, Robert Piątka i MM**

Podziękowania: Aleksander Bereta, Maja Fenrych Majewska, Agnieszka Grandowicz, Tomasz Juskiewicz, Marcin Kilanowski, Wojciech Łędzwa i Bogdan Victorio Zdanowicz

Numer zamknięto 24 września br.



Rysunki naskalne znalezione w Dinetah

DINETAH Ojczyzna Nawahów

Kiedy Irene Tsiniinnie była dziewczynką, nie było jeszcze telewizji. W rezerwacie Nawahów trudno było nawet o radio. Dorastając w Round Rock w Arizonie, Irene spędzała wolne chwile na słuchaniu opowieści o dawnych czasach.

– Pamiętam – wspomina – jak siedziałam w hoganie, słuchając, jak mój ojciec Ashihie, który był naszym lekarzem, opowiada o świętym miejscu zwanym *Dinetah*. Do tego miejsca, mówił, powinni udawać się tradycyjni lekarze, by odnajdywać właściwy sposób wykonywania masek i innych obrzędowych przedmiotów, których Święci Ludzie nauczyli używać Nawahów.

Dinetah w języku Nawahów oznacza „ojczyznę”. Zgodnie z ich wierzeniami, kiedy Zmienia Kobieta przybyła nad Zachodni Ocean, by zamieszkać tam ze swoim mężem, Słońcem, pozostawiła lud Nawahów na obszarze *Dinetah*. Kolejnych Nawahów tworzyła, pocierając

swoje ciało. Ci nowi Nawahowie pragnęli powrócić do swej pierwotnej ojczyzny – *Dinetah*. A kiedy to uczynili, spotkali Nawahów, którzy mieszkali tam już wcześniej.

Trudno oddać znaczenie *Dinetah* w historii Nawahów. Obecnie, wielu z nich nie wie nawet, gdzie leży, ani czym jest *Dinetah*. Inni słyszeli opowieści o tym miejscu, lecz nie wiedzą nic więcej. Ale dla nawajskich lekarzy jest to święte miejsce, z którego pochodzi wiele opowieści.

Centrum *Dinetah* leży w północno-zachodnim Nowym Meksyku, około czterdziestu mil na południowy wschód od Bloomfield. Z surowym pięknem krajobrazu kontrastują wieże wiertnicze ropy i gazu, a ich głos odbija się echem od ścian kanionów. Gorzkosłodki zapach szaflii pozwala zapomnieć o pracujących pompach i przyjrzeć się kulturze, która kwitła tu przed wiekami.

W latach pięćdziesiątych, występując przed Sądem Roszczeń Indian, Nawahowie przedstawili dowody dawnego zamieszkiwania przez siebie terenów rozciągających się od Chimney Rock w połudnowo-zachodnim Kolorado, przez rejon Abiqui w Dolinie Chama w środkowo-północnym Nowym Meksyku, aż po Quemado na południe od Zuni. Dineta leży pośrodku tych ziem, obejmując kaniony Largo, Carizzo i Blanco na południowy wschód od Farmington.

Sprawa o roszczenia ziemskie Nawahów rozpoczęła się na mocy ustawy Kongresu z 1947 roku, która upoważniła indiańskie plemiona do oskarżania rządu USA o nieprawidłowe lub niepełne zapłacenie za ziemię przejętą przez Stany Zjednoczone lub pierwszych osadników. Ustawa ta powołała Komisję Roszczeń Indian, która miała rozpatrywać skargi wnoszone przez indiańskie plemiona uważające, że nie wypelniono prawidłowo postanowień traktatów. Sprawa o roszczenia ziemskie Nawahów pozwoliła na zlokalizowanie pięciu wczesnych osiedli nawajskich, datowanych na XIV wiek. Jest to dużo wcześniej, niż czasy, kiedy zdaniem wielu archeologów przybyli tam Nawahowie. Opowieści Nawahów potwierdzają wcześniejsze daty.

Petroglify (skalne rzeźby) i piktogramy (malunki naskalne) wykonane przez Nawahów w XVII i XVIII wieku wypełniają ściany kanionów Dineta. Naskalne rysunki przedstawiają Świętych Ludzi Nawahów oraz mówią o ich życiu i osiągnięciach. Jedną ze ścian opowiada historię Hazardzisty, który w mitologii Nawahów zwycięża w wielu grach losowych. Wspomagany przez innych Świętych Ludzi, Hazardzista grał zwykle ze znacznie bogatszymi Pueblo. Wygrywał w każdej grze, zgarniając wiele turkusów, muszli i innych klejnotów. Jeden z piktogramów ukazuje Hazardzistę z kołem, a inny grę w kościane pałeczki.

Wiele postaci wyrzeźbionych lub namalowanych na ścianach kanionów jest identycznych z postaciami pojawiającymi się we współczesnych piaskowych rysunkach Nawahów. Jest to dowód na stosunkowo niewielkie zmiany w tych aspektach nawajskiej religii.

Dineta to święta ziemia Nawahów. To źródło siły i mocy dla ich lekarzy – miejsce

oczyszczania ich myśli i odbudowywania niezbędnej do życia i uzdrawiania harmonii.

Billy Sam, nawajski lekarz z Many Farms w Arizonie, opowiada o znaczeniu Dineta dla Zmiennej Kobiety, najbardziej szanowanej ze Świętych Ludzi. To tam Pierwszy Mężczyzna ujrzał obłok nad szczytem Gobernador, a kiedy po czterech dniach Pierwszy Mężczyzna i Pierwsza Kobieta weszli na szczyt, znaleźli tam Zmienną Kobieta, która była jeszcze dzieckiem. Lata były wówczas tylko dniami i po dwunastu dniach odprawiono ceremonię *Kinaalda* (ceremonię dojrzewania dla dziewcząt).

To tam Słońce spało ze Zmienną Kobieta i dało jej Bliźniaków, Zabójcę Potwora i Dziecko Urodzone Dla Wody. Chłopcy nie wiedzieli jednak, kim jest ich ojciec. Po spotkaniu z Kobieta Pajakiem otrzymali modlitwy, które umożliwiły im bezpieczne odwiedziny u ich ojca Słońce. Po odwiedzinach u ojca nad Zachodnim Oceanem wrócili do domu na płaskowyżu Huerfano.

Huerfano Mesa (*Dzilna'ooldlii*), skalny ostaniec położony około 20 mil na południe od Bloomfield, przy drodze nr 44, to miejsce, w którym znajdował się dom Pierwszego Mężczyzny i Pierwszej Kobiety. To tam wychowała się Zmienna Kobieta.

Nawahowie budowali swe domy w miejscach, dających naturalną ochronę i współżyli pokojowo z Pueblami, którzy przenieśli się na ziemię Nawahów pod koniec XVII wieku, uciekając przed Hiszpanami. W niektórych miejscach na terenie Dineta wspierające się na rozwidlonych palach hogany Nawahów sąsiadowały ze wznoszonymi przez lud Pueblo niewielkimi *puéblitos*.

Obok sztuki skalnej, największą atrakcją Dineta są stare forty, rozrzucone niemal wszędzie, podobnie jak współczesne wieże wiertnicze. Z położonych strategicznie fortów Nawahowie strzegli poszczególnych rejonów przed Ute, Komanczami i Hiszpanami.

Najbardziej wyróżniający się z tych fortów to Shaft Ruin, wzniesiony w górnej części ściany kanionu Crow, będącego odnogą kanionu Largo. Około pół mili na zachód od niego znajduje się mały posterunek, który służył do wypatrywania nieprzyjaciela. Shaft Ruin posiada świetliki o średnicy około pięciu cali (12 cm),

przez które Nawahowie strzelali z łuków. Każdy otwór umieszczony jest strategicznie, by strzec wszystkich możliwych podejść do Shaft Ruin.

Nacisk Hiszpanów, Ute i Komanczów zmusił ostatecznie Nawahów do opuszczenia ich ukochanej ojczyzny. Krótko po 1760 roku na terenie Dineta nie było już ani jednego Nawaha. Zostawili jednak swoje skalne rysunki, domy i wiele świętych przedmiotów.

Dzięki drogom łączącym poszczególne miejscowości wydobywania ropy naftowej na tej świętej ziemi, łatwo dotrzeć do skalnych dzieł sztuki i ruin. Tak łatwy dostęp do nich ma jednak także swoje złe strony. Dineta przyciąga „łowców skorup” i innych ludzi, którzy nie tylko bezczeszczą rysunki i miejsca, ale także niszczą i usuwają zabytkowe przedmioty. W ścianach kanionów wierci się otwory i wywozi skalne panele ze świętymi rysunkami. Niewielkie jaskinie na tym terenie kryły niegdyś święte drewniane przedmioty wykonywane przez Nawahów i Pueblo przed setkami lat. Wiele z nich spoczywa dziś w muzeach lub prywatnych domach.

Większość obszaru Dineta zarządzana jest przez Biuro Zarządu Ziemią (BLM). Strażnicy

Biura mają prawo ścigać osoby, które grabią lub niszczą zabytkowe przedmioty, ale trudno jest utrzymać „łowców skorup” z dala od tego odosobnionego terenu.

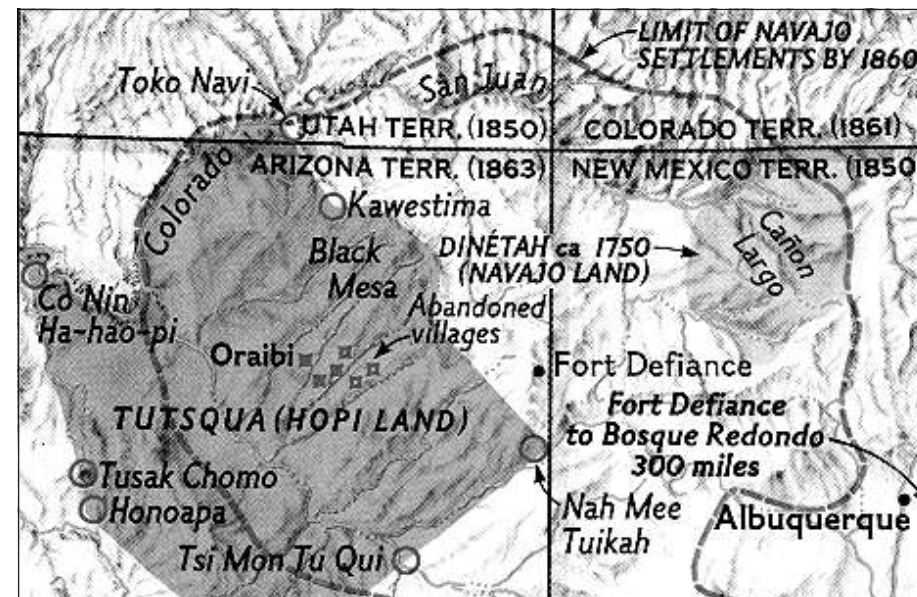
Chociaż ponad 90% Dineta to dziś ziemia federalna, to są tam też małe działki prywatne. Niewiele należy do Nawahów, a większość znajduje się poza ich rezerwatem. Plemię negocjuje jednak dzierżawę i zakup terenów prywatnych, chcąc odzyskać część swojej świętej ojczyzny.

Na południe od Blanco wznoszą się dwie skały noszące imiona Bliźniaków. Zabójca Potwora i Dziecko Urodzone Dla Wody strzegą wejścia do Dineta. Jak mówi Irene Tsini-jinnie:

– Dineta jest dla nas świętością. To nasza Ziemia Święta. Musimy ją chronić, by nasi młodzi ludzie znali swoją ojczyznę. Dziś naszą ojczyznę chronią tylko Bliźniacy. □

opr. Marek NowoCIEŃ

Na podstawie artykułu *Dineta* Monty Roessela, nawajskiego fotografa z Round Rock w Arizonie, opublikowanego w kwartalniku „Turtle Quarterly”.



Apacze w historii Południowego Zachodu

Apacze odegrali niebagatelną rolę w dziejach Ameryki Północnej; mimo że nie było ich wielu, wędrowali małymi grupkami po ogromnych obszarach i rzadko zbierali się razem. Atapaskowie stanowili ostatnią falę przybyszów na kontynent, przed Eskimosami, gdyż większość z nich wciąż zamieszkuje północno-zachodnią Kanadę. Przodkowie Apaczów i Nawahów pojawili się na Południowym Zachodzie około stu-dwustu lat przed przybyciem Hiszpanów. Gdy ci ostatni trafili na tereny dzisiejszego Nowego Meksyku, spotkali Indian, których techniki prowadzenia wojny różniły się zasadniczo od metod osiadłych ludów, napotkanych przez nich wcześniej. Ludy te zamieszkiwały wioski i miasta, wyprowadzały w pole całe armie i poddawały się po utracie przywódców. Hiszpanie podbili nieskończenie górujących nad nimi licznie Azteków, lecz zupełnie zaskoczyła ich taktyka wojny szarpanej w wykonaniu Apaczów, z którą nie potrafili sobie poradzić przez dwieście lat.

Jak inni południowi Atapaskowie, Apacze nazywali siebie samych *Diné* co znaczy „ludzie”. „Apacze” to nazwa, którą nadali im Hiszpanie, będąca zniekształconym słowem „wróg” z języka Zuni. Większość amerykańskich Indian znana była Europejczykom pod nazwami, zwykle niepocholebnymi, nadanymi im przez sąsiednie plemiona. Poza Lipanami, Apaczami Kiowa oraz Jicarillami, Apacze byli góralami, choć równie dobrze czuli się na południowo-zachodnich pustyniach. W przeciwieństwie do większości Indian zajmujących nieurodzajne niegościnnie tereny, mieli dość sił, aby pozbawić innych ich żyznych ziem. Woleli jednak swobodnie wędrować, polować,

zbierać korzenie i nasiona niektórych roślin oraz najeżdżać osiadłe plemiona. Wciąż potrzebowali żywności, znajdowali się w nieustannym ruchu. Jakkolwiek urodzeni wojownicy, Apacze nigdy nie atakowali, jeżeli nie byli pewni powodzenia. Zbyt mało mieli mężczyzn, aby pochopnie narażać życie, a martwi bohaterowie nie byli u nich w cenie. Nie mieli sobie równych w sztuce zarządzania zasadzek i jeśli dzięki niej nie potrafili zapewnić sobie zdecydowanej przewagi, rezygnowali z walki. Hiszpanie dostarczyli im nowego źródła pożywienia i Apacze szybko zasmakowali w mięsie koni i mułów, przedkładając je nad wołowinę i baraninę. Mieszkając w małych grupach na rozległych przestrzeniach, siłą rzeczy, napadali hiszpańskie stada w grupkach po kilku lub kilkunastu wojowników.

Wytrzymałość, odporność na upał, zimno i głód, pogarda dla kłamców, skromność kobiet, zamiłowanie do hazardu i poczucie humoru to cechy charakteru Apaczów od setek lat postrzegane przez obserwatorów. Ich sprawność fizyczna przeszła do legendy. Wielu pisarzy potwierdza, że chlubili się swą prawdziwością i równie wielu – czasem z irytacją – mówili o wyjątkowo dobrym prowadzeniu się ich kobiet. Nawiasem mówiąc, cnotliwym obyczajom stale towarzyszyła obawa przed obcięciem czubka nosa, co spotykało niewierne żony. O tym, jak cenili sobie poczucie humoru, mógł coś powiedzieć łysy agent, John P. Clum, którego nazywali „Ten Z Wysokim Czołem”.

Podziwiano również umiejętność przeżycia Apaczów w surowym, niegościnnym środowisku. Potrafili znaleźć pożywienie i wodę tam, gdzie nikt się tego nie spodziewał. Chociaż prze-

nosili się niemal bez przerwy z miejsca na miejsce, dymem za dnia i ogniem w nocy przekazywali sobie nowiny na dalekie odległości i w bardzo krótkim czasie. John C. Cremony, blisko związany z Meskalerami, nie mógł się nadziwić jak potrafią się ukryć na otwartej przestrzeni, osłonięci jedynie trawą *gramma*.

Począwszy od 1600 roku, kiedy w Nowym Meksyku pojawił się pierwszy gubernator tej kolonii, Juan de Oñate, hiszpańskie władze zaczęły łapać Apaczów i sprzedawać ich jako niewolników do kopalń na południu. Proceder ten uprawiano przez całe stulecia XVII i XVIII i utrzymał się długo w wieku XIX pod rządami Meksykanów. Sprawili, że Apacze darzyli Hiszpanów głęboką, ponurą nienawiścią i położyli kres ich pochodowi na północ w okolicach zamieszkiwanych przez Pueblów z Nowego Meksyku oraz wiosek Pimów i Sobaipurich z dolin Santa Cruz i San Pedro w południowej Arizonie. Dalej Hiszpanie nie byli w stanie się posunąć, zaś apackie najazdy w głąb Chihuahua i Sonory, które rozpoczęły się pod koniec XVII wieku cofnęły granice i prawie wyludniły obie prowincje.

Apacze byli chyba pierwszymi wędrownymi Indianami na Południowym Zachodzie, którzy posiadli konie i użyli ich do walki. Hiszpanom wolno było zatrudniać chrześcijańskich Pueblów jako pasterzy. Niektórzy z nich uciekli w latach trzydziestych i czterdziestych XVII wieku do Apaczów i nauczyli ich jeździć. Nawet wtedy jednak Apacze zjadali większość porwanych koni i mułów, zostawiając najlepsze do jazdy. Uprząż i siodła sporządzali na modłę Hiszpanów.

Indianie Pueblo niejednokrotnie powstawali przeciwko Hiszpanom, lecz tylko w 1680 udało im się wyprzeć ich z doliny Rio Grande, w czym wydatnie pomogli im Apacze i Nawahowie. Hiszpanie zdecydowali się na opuszczenie kraju jedynie wtedy, gdy upewnili się, że Apacze naprawdę pomagają Pueblo.

Pomyślnie najazdy w wieku XVII na hiszpańskie stada w Sonorze i Chihuahua, podczas których zagarniano tysiące koni, mułów i krów sprawiły, że Apacze łączyli się w większe grupy i atakowali większą siłą. Zmieniła się ich taktyka, przez co najazdy przybrały na sile, budząc powszechną grozę. Nie napadali już

z zasadzki, lecz oddziałami liczącymi po kilkuset wojowników najeżdżali miasta, rancza, a nawet garnizony. Zabijali mężczyzn zaś kobiety i dzieci uprowadzali ze sobą, aby sprzedać je w Nowym Meksyku lub przyjąć do plemienia. Niejeden meksykański chłopiec wyrósł na straszliwego wojownika. Tym sposobem Apacze potrafili uzupełnić straty, ponoszone w wyniku ciągłych wypraw odwetowych przeciwko nim.

Stojąc w obliczu utraty Sonory i Chihuahua, Hiszpanie powołali do życia instytucję, mającą się rozprawić z Apaczami. Było to w 1776 roku i stanowiło precedens w historii stosunków hiszpańsko-indiańskich. Ową szczególną organizację nazwano Naczelnym Dowództwem Środkowych Prowincji, do których zaliczano wszystkie prowincje na północnej granicy. Nosila ona czysto wojskowy charakter, gdyż obowiązkiem dowództwa było prowadzenie ciągłej wojny z Apaczami na całej granicy, przez co mało czasu poświęcało sprawom cywilnym. Utworzono również tak zwane *compañia volante*, czyli „lotną kompanię” – jednostkę kawalerii, mającą ścigać i zwalczać pojawiające się w różnych okolicach zagony Apaczów.

W miarę powiększania się liczby wojsk wyposażonych w coraz lepszą broń, naczelny wódz wydał rozkaz wytopienia Apaczów, wykorzystując w tym celu jedne ich grupy, które pomagały wytropić i zaskoczyć inne. Natomiast w 1786 roku wicekról Bernardo de Galvez (służący wcześniej w wojsku w Apacerii¹) wydał naczelnemu wodzowi szereg instrukcji, mających nakłonić Apaczów do uległości pokojowymi metodami. Poprzednio urzędnikom hiszpańskim nie wolno było zawierać z nimi układów, teraz kiedy Indianie wyrażali chęć zakończenia wojny, pozwolono im się osiedlać w tak zwanych *establecimientos de paz*, czyli w pokojowych osiedlach pod opieką garnizo-

1. Apaczeria to hiszpańskie określenie terenów zamieszkałych bądź nawiedzanych przez Apaczów. Obejmowała ogromny obszar od rzeki Kolorado na zachodzie po pasma górskie za Rio Grande na wschodzie i od wielkich kanionów na północy około tysiąc mil na południe w głąb Meksyku. Oczywiście, nie zalicza się do niej rolniczego imperium Pimów i Papagów nad Gila i jej dopływami. Na hiszpańskich mapach pojawia się od 1710 roku.



APACZERIA

(z uwzględnieniem współczesnych granic państw i stanów)

nów – *presidios*. Mając do wyboru nieustanne karne ekspedycje, a osiedlenie się pod opieką rządu hiszpańskiego i pobieranie racji żywnościowych, wiele tropionych bez wytchnienia grup decydowało się zawrzeć pokój. Galvez nakazał, aby Apaczom wydzielano nie tylko żywność, ale również broń palną i *aguardiente* (wódkę), co miało ich uzależnić od dobrych stosunków z Hiszpanami. Miał nadzieję, że przez to zrezygnują z używania łuków i strzał. To również było nowością w stosunkach z Apaczami, gdyż wcześniej obowiązywał zakaz sprzedawania Indianom karabinów.

Nowa polityka łącząca zdecydowane działania bojowe przy użyciu apackich zwiadowców oraz propozycja opieki i pomocy różnego rodzaju w *establecimientos de paz* wkrótce wydała owoce, gdyż Chiricahuowie i inne oddłamy dobrowolnie osiadły w obozach w pobliżu *presidios* Sonory i Chihuahua. Nastąpił okres względnego spokoju przypadający na lata 1790-1830, kiedy na północnej granicy i w południowej Arizonie rozkwitło górnictwo i hodowla bydła i owiec. W Sonorze zapanował dobrobyt i zdawało się, że problem apacki został rozwiązany. Choć niektóre grupy nadal prowadziły wojnę, to ich współplemieńcy, zamieszkujący pokojowo osiedla, nie wahali się wystąpić przeciwko nim. Kiedy jednak Meksyk wywalczył sobie niepodległość, dla nowego państwa nastały ciężkie czasy. Dostawy dla Apaczów zaczęły przychodzić z coraz większym opóźnieniem, zaś skuteczność działań wojska zmalała w zatrważającym stopniu. Po 1830 roku Apacze wrócili do dawnego trybu życia, wznowiając budzące grozę najazdy, których szczyt przypadł na lata czterdzieste.

Na Chihuahua padł taki strach, że doprowadzeni do rozpaczy urzędnicy tego stanu zawarli szereg układów z Apaczami Gilenio; układy, które nie obejmowały Sonory. Chihuahua proponowało żywność i ochronę Apaczom, chcącym powrócić do pokojowych osiedli koło *presidio* Janos. Mogli tam nawet sprzedawać lub handlować stadami zdobytymi gdzie indziej. Była to niezwykle atrakcyjna propozycja dla pewnych odłamów Gilenio, gdyż mogli korzystać ze schronienia i zapasów w Janos oraz pozyskiwać się z zyskiem zrabowanych zwierząt. Kiedy jednak Apacze dokonali kilku niszczą-

cych najazdów w głąb Sonory, mieszkańcy stanu zorganizowali oddział, który napadł na obozy kolo Janos, zabijając wielu Indian, a jeszcze więcej biorąc do niewoli. Wściekłość władz Chihuahua nie miała granic, lecz rząd federalny poparł stanowisko Sonory.

W 1853 roku stan ten zaproponował nową i niezwykle drastyczną metodę pokonania Apaczów, a mianowicie wypłacanie nagród za ich skalpy. Początkowo płacono jedynie za włosy mężczyzn, lecz wkrótce objęło to kobiety i dzieci, jak również jeńców, których sprzedawano w niewolę. Wielu Anglo-Amerykanów zajęło się tym zyskownym „interesem z włosami”, tak jak James Johnson, który zważył na ucztę wodza Juana Jose Compe i jego Mimbreniów, po czym ostrzelał ich z ukrytego działka. Innym słynnym łowcą skapłów był James „Don Santiago” Kinker, samozwańczy „Król Nowego Meksyku”. Łowcy skalpów zabili wiele apackich kobiet i dzieci (za to nielicznych mężczyzn), co dało się bardzo we znaki odłomom znad Gila – Mimbreniom i Mogollonom. Setki skalpów złożono w punktach dostawczych, lecz na granicy wiedziano, że wiele z nich ściągnięto z głów nieszczęśliwych meksykańskich peonów lub przyjaźnie nastawionych Indian. Wystarczyło nosić długie czarne włosy, żeby pożegnać się z życiem.

Wojna z Meksykiem sprowadziła w 1846 roku do tego kraju Anglo-Amerykanów i początkowo wojsko Stanów Zjednoczonych raz dziło sobie z Apaczami jeszcze gorzej niż Hiszpanie. W roku 1848, mocą traktatu z Guadalupe Hidalgo, Stany Zjednoczone zobowiązały się do powstrzymania Indian od najazdów w głąb Meksyku, ale okazało się to niemożliwe do wykonania. Kiedy w 1853 roku doszło do tzw. Zakupu Gadsdena², Amerykanie wykorzystali słabość sąsiadów i znieśli ten punkt porozumienia, zostawiając obywateli Sonory i Chihuahua na pastwę Apaczów. Wiele grup apackich zamieszkiwało na stałe lub czasowo w Meksyku.

2. James Gadsden w imieniu rządu amerykańskiego zakupił Meksyku, za cenę 10 mln dolarów, pas terytorium od Teksasu po Kalifornię. Zakup ten został w 1854 roku potwierdzony przez Kongres Stanów Zjednoczonych, co sprawiło, że więcej plemion indiańskich, w tym tubylcy Arizony i Nowego Meksyku, znalazło się pod panowaniem amerykańskim.

W latach pięćdziesiątych wojsko prowadzone przez Kita Carsona pokonało i rozproszyło Jicarillów żyjących na północy Nowego Meksyku, którzy mieli około dwustu wojowników. Inne jednostki rozprawiły się z Mescalarami zamieszkującymi środkowe i południowo-wschodnie tereny tego terytorium. Obydwa plemiona zgodziły się zawrzeć pokój, ale gdy rząd nie zaopatrzył ich wystarczająco w żywność, musieli kraść bydło, aby nie zginąć z głodu. Również niektórzy Mimbrenio osiedli nad dopływami górnej Gila, aby uprawiać ziemię pod opieką agenta do spraw Indian, który orzekł, że są na najlepszej drodze do usamodzielnienia się. Niestety, wyprawa pułkownika Bonnevillé'a przeciw Mogollonom w 1857 roku napeliła ich takim przerażeniem, że gdy wojsko pojawiło się nad Gila, większość z nich uciekło do Meksyku.

„Zachodni Apacze”, czyli Coyotero, Tonto, Pinalenio i Chiricahua z Arizony wyrażali chęć utrzymania pokoju na północ od granicy, o ile Amerykanie nie będą przeszkadzać w ich odwiecznych wyprawach w głąb Sonory i Chihuahua. Amerykanie walczyli kiedyś z Meksykanami i zawsze chętnie kupowali bydło i muły, sprowadzone przez wojowników z Meksyku. Teraz jednak urzędnicy oświadczyli, że należy położyć kres najazdom, co Apacze poczytali za przejaw arogancji i głupoty.

Za rozpętanie wojny z Apaczami, do której wkrótce doszło, tradycyjnie obwinia się tzw. zajście z Bascomem na Przełęczy Apaczów w lutym 1861 roku. Prawdą jest jednak, że wrogie nastroje wśród Apaczów spowodowało zerwanie kilka lat wcześniej lokalnego układu obowiązującego na terenie Tubac³. Powieszenie zakładników na Przełęczy Apaczów, niesłusznie przypisywane porucznikowi Bascomowi⁴, nastąpiło w odwecie za zabicie przez Cochi-

se'a amerykańskich jeńców. Dolało to niewątpliwie oliwy do ognia, lecz go nie rozpało. Najważniejszym czynnikiem przesądzającym o nagłym przystąpieniu Apaczów do najazdów na północ od granicy było opuszczenie przez wojska Unii fortów w południowej Arizonie i Nowym Meksyku latem 1861 roku w obliczu nieuchronnej inwazji konfederatów. Przekonani, że wygonili żołnierzy, Chiricahua, Gileño i Mescalero wyruszyli do walki, by oczyścić swe ziemie ze wszystkich białych.

W 1862 roku major James H. Carleton przybył do Nowego Meksyku na czele Kalifornijskich Ochotników, lecz konfederaci zdążyli już odejść. Carleton, mianowany dowódcą sił zbrojnych Okręgu Nowego Meksyku, postanowił zająć swych żołnierzy ciągłymi wyprawami przeciw Apaczom i Nawahom. Dla Apaczów nie żywił najmniejszego współczucia – jego często powtarzane rozkazy wzywały do zabijania wszystkich mężczyzn. Zabraniał wszelkich rokowań z nimi; jeżeli chcieli pokoju, ich naczelnicy mieli osobiście rozmawiać z Carletonem w Santa Fe. Kiedy jednak Manuelito, wybitny wódz Mescalero, na czele swej grupy wyruszył na spotkanie z majorem, został wraz z kilkoma towarzyszami zastrzelony bez ostrzeżenia przez jego żołnierzy.

Bezwzględne postępowanie Carletona sprawiło, że głodujący i wprost zdziesiątkowani Mescalero poddali się i osadzono ich w odludnym rezerwacie Bosque Redondo nad rzeką Pecos. Carleton, który początkowo obiecał im powrót do ojczyzny, postanowił ich uszczęśliwić stałym tutaj pobylem. Głodującym i chorym Mescalero trudno się było zdobyć na okazanie wdzięczności za szczęście, jakiego zaznali dzięki niemu, on zaś potrafił im jedynie powiedzieć, by zachowali na tyle godności, żeby nie skarżyć się na to, czemu nie można zaradzić. Ta beznadziejna sytuacja uległa jeszcze pogorszeniu, kiedy wysłany przez niego Kit Carson na czele silnego oddziału pokonał Nawahów i w liczbie ośmiu tysięcy sprowadził do rezerwatu. Liczący około pięciuset głów

rozkaz swych zwierzchników – lekarza wojskowego Bernarda J. D. Irvina i porucznika Isaiaha N. Moore'a. Doktor Irvin całkowicie oczyszcza podwładnego z zarzutów w artykule *The Fight at Apache Pass*, napisanym kilka lat po tych wypadkach, lecz opublikowanym dopiero w 1928 roku.



Mescalero, zdani na łaskę swych odwiecznych wrogów, radowali się swym szczęściem dotąd, aż udało im się uciec z Bosque Redondo. Przez kilka następnych lat wędrowali po swych plemiennych terenach, nie sprawiając białym kłopotów poza drobnymi kradzieżami bydła.

W Arizonie, w 1871 roku, pewni Apacze Arivaipa pod wodzem Eskiminzinem przybyli poddać się w obozie Granta, choć wojsko nie dysponowało instrukcjami co do Apaczów, nie przebywających na wojennej ścieżce. Niemniej komendant placówki, porucznik Royal Whitman, powitał ich serdecznie i niezwłocznie poprosił przełożonych o rozkazy, wykazując, że nadarza się sposobność zaprzestania wojny przez wielu Apaczów. W swym pośpiechu Whitman zapomniał jednak, zgodnie z regulaminem, streścić list na kopercie, więc po kilku miesiącach powrócił doń nieczytany z suchą uwagą o niedopełnieniu obowiązku, czym był brak streszczenia. Na koniec pozwolono jednak Apaczom pozostać w obozie Granta i pobierać żywność z magazynów wojskowych. Był to pierwszy krok na drodze położenia kresu polityce eksterminacji w Arizonie; krok, który poczynili pierwsi Apacze. Nie poszli jednak ich śladem obywatele Tucson. Ich wściekłość zwiększyła się jeszcze, gdy Whitman zatrudnił

Apaczów przy sianokosach i zbieraniu opału dla garnizonu, co pozbawiło dostawców spodziewanego zysku.

Najazdy przypisywane Apaczom zdarzały się czasami w południowej Arizonie, więc kilku mieszkańców Tucson wraz z licznymi Papagami, niespodziewanie uderzyło na Apaczów z obozu Granta, mordując ponad osiemdziesiąt osób. Wśród nich znajdowało się tylko ośmiu mężczyzn, zaś dwadzieścioro ośmiorgo dzieci uprowadzono i sprzedano w Sonorze. Atak ten nastąpił wkrótce po ogłoszeniu przez prezydenta Granta jego Polityki Pokoju i udowodnił wszystkim, że nawet przyjaźnie usposobieni Apacze nie mogą liczyć na ochronę w swych rezerwach.

Podpułkownik George Crook, który wsławił się w wojnach z Paiutami i opracował metody walk, mogące znaleźć zastosowanie przeciwko Apaczom, objął w czerwcu 1871 roku dowództwo wojskowego Okręgu Arizony. Od razu rozpoczął przygotowania do zimowej ofensywy, lecz musiał dwukrotnie odkładać jej termin, gdyż rzecznicy Polityki Pokoju, Vincent Colyer i generał O. O. Howard próbowali drogą namowy skłonić Apaczów do osiedlenia się w rezerwach. Crook nie podzielał ich zdania, wiedząc, że najbardziej nieprzejednani

nigdy nie pogodzą się z bytowaniem w rezerwacie, dopóki nie zostaną dotkliwie pobici na własnym terenie. Wielu Apaczów, wśród nich Chiricahuowie Cochise'a, Mimbrenio i Mogollonowie oraz Coyotero z Białych Gór, osiadło w rezerwach wyznaczonych im przez Colyera i Howarda. Niektórzy wzięli się do ciężkiej pracy, aby się jak najszybciej usamodzielnili, ale zgodnie z przewidywaniami Crooka, grupy nieprzejednanych pozostały na wolności i nie zaprzestały najazdów.

Nim nadszedł rozkaz zawieszenia działań, Crook dokonał szybkiego przeglądu Apaczerii i wysłał w teren oddział prowadzony przez zwiadowców Coyotero. Było to czymś zupełnie nowym, gdyż zatrudniani dotąd zwiadowcy pochodzili z innych plemion. Dowódca oddziału donosił z entuzjazmem, że apaccy zwiadowcy przeszli jego najśmielsze oczekiwania, bez wahania biorąc udział w walce. Tutaj leżał klucz do pokonania Apaczów, a mianowicie używanie Apaczów do zwalczania innych Apaczów, a nie tylko do wynajdywania wrogich obozów i Crook bez wahania z tego skorzystał. Kiedy za sprawą Colyera oraz Howarda większość Gilenów i Apaczów z Arizony osiadła w rezerwach, Crookowi pozwolono przystąpić do kampanii przeciwko nieprzejednanym.

Wielu z nich należało do plemienia Tonto i Crook skierował do ich kraju szereg operujących samodzielnie oddziałów, które przemierzając go wzdłuż i wszerz, miały zagnać ich w kotłinę Tonto i tam zadać rozstrzygający cios. Nadzwyczaj starannie dokonał wyboru swych oficerów, apackich zwiadowców, białych szefów zwiadu oraz mulów juczych. Po zapoznaniu podwładnych z celem kampanii, nie wtrącał się do prowadzonych przez nich działań. Kilka miesięcy nieustannych walk prowadzonych srogą zimą lat 1872-73 przyniosło taką klęskę Tontom, że z wyjątkiem nielicznych straceńców przybyli poddać się w obozie Verde. Główną rolę w tej kampanii odegrali apaccy zwiadowcy, co ponuro przyznali sami Tonto mówiąc, że to obawa przed zwiadowcami, a nie przed amerykańskim wojskiem skłoniła ich do kapitulacji.

Przez następne kilka lat Crook zajmował się głównie pomaganiem Apaczom przy dosto-

sowaniu się do życia w rezerwacie poprzez zatrudnianie ich przy budowie kanałów nawadniających i przez nauczanie ich uprawy ziemi i hodowli bydła. Gdyby mógł im poświęcić przynajmniej dziesięć lat, prawdopodobnie nastąpiłby kres poważniejszym kłopotom z tym plemieniem. Jednak w 1874 roku kontrolę nad nimi odebrano ministerstwu wojny i oddano ją w ręce Biura do Spraw Indian, a w rok później Crook przeniósł się do Departamentu Platte walczyć przeciw Siuksom. Pozostawieni sobie Apacze stali się pionkami w grze o władzę toczoną przez wojsko i Biuro do Spraw Indian oraz o zyski między dostawcami z Tucson i Nowego Meksyku.

Czynnikiem, który przesądził o wznowieniu wojen z Apaczami, stała się fatalna decyzja Biura do Spraw Indian osadzenia większości z nich w arizońskim rezerwacie San Carlos. Nie tylko zlekceważyła ona obietnice poczynione różnym plemionom przez Colyera i Howarda, lecz co gorsza, sprawiła że wrogie sobie grupy zamieszkały razem, co w każdej chwili groziło wybuchem walk. Poza tym, jałowy rezerwat San Carlos nie odpowiadał wielu grupom w pełni zadowolonym z rezerwatów utworzonych na ich własnej ziemi. Odnosiło się to szczególnie do Indian z obozu Verde – Tontów, Apaczów Yuma, czyli Hualapai i Apaczów Mohave, czyli Yavapai, Coyoterów z Białych Gór, Chiricahuów oraz Mimbreniów z Gorących •ródeł i ich krewniaków, Mogollonów. Crook i inni rozsądni oficerowie ostrzegali przed tragicznymi skutkami tej polityki, lecz Biuro do Spraw Indian z tymym uporem puszczało te przestrogi mimo uszu.

Jako pierwsi ofiarą polityki koncentracji padli Indianie z obozu Verde, zmuszeni do opuszczenia rezerwatu, w którym mieli kilometry wykopanych kanałów nawadniających i znakomicie utrzymane pola uprawne. Ich wzburzenie było tak wielkie, że w drodze do San Carlos doszło do walki między Tontami a dwoma pozostałymi plemionami. Po obu stronach byli zabici i ranni. Ponieważ wojsko wtrącało się do zarządzania Indianami z obozu Apache, więc Biuro do Spraw Indian przeniosło Coyoterów z ich górskich terenów do półpustynnego San Carlos. Tutaj zdolny, choć impetyczny, młody John P. Clum skutecznie

oparł się naciskom wojska. Przeniesienie Coyoterów usunęło ich spod wpływów dostawców z Nowego Meksyku, lecz na ich miejsce trafili dostawcy z Tucson. Następnie przybyli Chiricahuowie ze swego rezerwatu w południowo-zachodniej Arizonie, a po nich Mimbrenio i Mogollonowie z Gorących •ródeł w Nowym Meksyku. Indianie z obozu Verde początkowo burzyli się, stawiając opór wszelkim zarządzeniom, lecz Clum ze swą apacką policją, bez pomocy kawalerii, skłonił ich do osiedlenia się i oddania broni. Kierował Apaczami w sposób mogący zaimponować każdemu, lecz wybujała ambicja nakazała mu popierać politykę koncentracji wszystkich plemion apackich w San Carlos pod swoim osobistym przewodem.

Najniebezpieczniejszymi ze wszystkich Apaczów byli Chiricahuowie. Kiedy generał Howard odwiedził Cochise'a w jego warowni, skłonił ich do zamieszkania w rezerwacie w ich własnym kraju nad granicą meksykańską. Zgodnie z wolą Cochise'a Howard wyznaczył przyjaciela wodza, Thomasa Jeffordsa na ich agenta, przekazując mu wyłączną kontrolę nad Chiricahuami i uniezależniając go całkowicie od wojska. Dopóki żył Cochise, razem z Jeffordsem potrafił utrzymać Chiricahuów w pokoju, choć nie próbowali się wziąć za uprawę ziemi i niektórzy wyprawiali się do Meksyku wraz z wojownikami innych plemion.

Po jednej z takich wypraw Skinnyea, jego brat Pionsenay i kilku innych kupili whisky od pewnego handlarza i podczas pijatyki, jaką urządzili, Pionsenay zabił kilku współplemieńców. Za parę dni pomścił ich śmierć, zabijając handlarza i jego pomocnika, a potem powiódł wyprawę w dolinę San Pedro, podczas której wielu ranczerów straciło życie.

Budzące grozę wydarzenie wywołało falę protestów i żądań przeniesienia Chiricahuów do San Carlos lub w jakieś inne miejsce. Naciskane przez gubernatora A. P. K. Safforda Biuro do Spraw Indian powierzyło to zadanie Clumowi i jego apackiej policji. Ten poradził wojsku, aby obstało teren na wypadek ucieczki Chiricahuów i chroniło obywateli, a sam na czele 54 policjantów pomaszerował do Tucson, gdzie zaczekał aż żołnierze zajmą wyznaczone pozycje. Mieszkańcom Tucson tak zaimponowały dyscyplina i ogólne zachowa-

nie się Apaczów, że z własnej woli zakupili dla nich mundury składające się z czerwonych koszul i białych spodni. Należy uprzytomnić sobie, że wydarzenie to miało miejsce zaledwie pięć lat po masakrze w obozie Granta i że jedną z czołowych postaci w policji był Eskiminzim, wódz Aravaipów, który stracił tam większość swych bliskich.

Clum, policjanci i oddziałek kawalerii doprowadzili większość Chiricahuów do San Carlos, lecz Geronimo, Juh, Nolgee i inni uciekli do Meksyku, gdzie wznowili najazdy. Stałe odwiedzali Mimbreniów i Mogollonów z Gorących •ródeł, gdzie odpoczywali między jedną wyprawą a drugą i pozbywali się zagranych stad. Pobierali również przydziały żywności z agencji.

Nieustanne najazdy na południową Arizonę sprawiły, że na początku 1877 roku władze terytorialne upoważniły gubernatora Safforda do wystawienia kompanii 60 ludzi mających zwalczać wrogów i osłaniać rancza i kopalnie. Safford, który wraz z mieszkańcami Tucson nie miał słów uznania dla dyscypliny i skuteczności działań apackich policjantów, poprosił Cluma o sześćdziesięciu spośród nich do służby w milicji terytorialnej. Służyli oni pod swym białym kapitanem, Clayem Beaufordem, dopóki Clum nie wyznaczył im o wiele poważniejszego zadania. Niemniej fakt, że zaledwie po kilku latach życia w rezerwacie – kiedy od masakry w obozie Granta nie upłynęło nawet dziesięć lat – wezwano jednych Apaczów do obrony obywateli Arizony przed innymi Apaczami, świadczy, jak zadziwiająco zmieniły się poglądy ludzi bezpośrednio zaangażowanych w wojny z Apaczami.

Zadaniem Cluma było przemierzyć ze swą policją czterysta mil do Gorących •ródeł i ująć Geronima, Juha i innych. Uczynił to z setką ludzi bez pomocy wojska. Wtedy to jeden jedyny raz Geronimo został naprawdę wzięty do niewoli, choć przy późniejszych okazjach udawało się go skłonić do poddania i dobrowolnego powrotu do rezerwatu. Wtedy też, na wniosek Cluma, Biuro do Spraw Indian rozkazało przenieść Apaczów z Gorących •ródeł do San Carlos. Niektórzy z nich zbiegli po drodze, a ci którzy udali się na niechcianą wędrówkę, ukryli broń na wszelki wypadek.



Pierwszy z prawej: Eskiminzin (1828-1895), słynny wódz Apaczów Arivaipa

Po triumfalnym powrocie do San Carlos Clum, którego do wściekłości doprowadzała najmniejsza interwencja wojska w sprawach rezerwatu, stwierdził, że podczas jego nieobecności Biuro zgodziło się na umieszczenie w San Carlos żołnierzy, mających nadzorować jego poczynania. Natychmiast wystosował ultimatum do swych przełożonych, domagając się podwyższenia pensji w związku ze zwiększonymi obowiązkami i zezwolenia na powołanie pod broń dalszych policjantów, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność za postępowanie wszystkich Apaczów z Arizony, bez uciekania się do pomocy wojska. Komisarz do Spraw Indian nie zgodził się na te żądania i Clum

wystąpił ze służby. Żaden z arizońskich agentów (z wyjątkiem Jeffordsa) nie potrafił tak skutecznie zarządzać Apaczami jak on i w ciągu zaledwie kilku lat, wszelkie poczynione przez nich postępy, zniweczyły niszczące powstania, wybuchające w San Carlos.

Kiedy Juh i inni nieprzejednani wtargnęli tam i uprowadzili swe rodziny, z zamieszania skorzystali Apacze z Gorących •ródeł i umknęli na swe łowiska w Nowym Meksyku. Niektórzy z nich poddali się i zabrano ich do Gorących •ródeł, a potem do rezerwatu Mescalero. Wkrótce dołączył do nich Victorio zadowolony z panujących tutaj warunków, lecz zbieg nieprzewidywanych okoliczności sprawił,

że szybko zmienił zdanie. Ktoś ostrzegł go, że zarzuca mu się morderstwo, popełnione w hrabstwie Grant i że wkrótce przybędą urzędnicy, aby go aresztować. Kiedy więc w kilka dni później sędzia Warren Bristol, Albert J. Fountain i jeszcze jeden mężczyzna udali się do rezerwatu Mescalero polować i łowić ryby, Victorio uznał, że przybyli po niego i uciekł wraz ze swymi kołmi i kilkoma wojownikami Mescalero. Po drodze zagarnęli całe stado koni jednostki Dziewiątego Pułku Kawalerii stacjonującej w Ojo Caliente.

Południowo-zachodni Nowy Meksyk zaroił się od żołnierzy, lecz oddziały skierowane przeciw wojownikom Victorio, po poniesionych porażkach przyznawały, że nie stanowią równorzędnego im przeciwnika. Apacze poruszali się z niewiarygodną szybkością, wymieniając zgonione konie na świeże, porywane z rancz, a w górach pieszo pomykali jak jelenie. Pewnego razu kompania apackich zwiadowców doścignęła Victorio i po całonocnej bitwie zabiła mu kilku najlepszych wojowników. Była to jego jedyna, jak dotąd, porażka, ale nie mógł zastąpić poległych towarzyszy i szczęście zaczęło go powoli opuszczać. Od 1879 roku, kiedy uciekł z rezerwatu Mescalero do 1881, gdy zginął (lub odebrał sobie życie) z rąk żołnierzy meksykańskich w górach Tres Castillos zwodził lub zwalczał tysiące wojskowych i cywilnych jednostek po obydwu stronach granicy podczas tej jednej z najbardziej niezwykłych wojen podjazdowych w dziejach. Po jego śmierci dowództwo niedobitków przejął stary Nana do czasu aż i on musiał się poddać.

Przez cały ten czas Geronimo Juh, Chato, Nolgee i inni południowi Chiricahua dokonywali napadów po obu stronach granicy, a naciśkani, chronili się w swym niedostępnym mateczniku – Sierra Madre w Sonorze.

Kiedy generał Crook powrócił w 1882 roku do Arizony, otrzymał od władz meksykańskich zgodę na ściganie Apaczów w głąb Sierra Madre. Po wysłaniu przeciwko nim silnych oddziałów apackich zwiadowców, dowodzonych przez uzdolnionych oficerów i wspomaganych przez nielicznych żołnierzy, zmusił do złożenia broni Chiricahuów i ich sojuszników. Nieposkromiony Geronimo podjął jednak walkę w ostatniej chwili i wrócił w góry. Przesądza-

ło to o dymisji Crooka, którego zastąpił generał Nelson A. Miles. Ten, podobnie jak wielu wysokich rangą oficerów, nie mających pojęcia o panujących w Arizonie warunkach, nie podzielał zaufania, jakim Crook darzył apackich zwiadowców, uważając że biali żołnierze sami pokonają wrogich Apaczów. Choć jednak otrzymał do dyspozycji o wiele więcej żołnierzy niż jego poprzednik przekonał się wkrótce, że niewiele zdziała bez zwiadowców. Korzystał więc z nich, gdy tylko wymagała tego sytuacja, lecz nigdy tego głośno nie przyznawał.

Miles został bohaterem w oczach mieszkańców Arizony po zagonieniu do pociągu spokojnie żyjących w rezerwacie Chiricahuów i wysłaniu ich do fortu Marion na Florydzie. Kiedy ludzie Geronima poddali się już ostatecznie, także wyjechali na Florydę, ale nie połączyli się tam z rodzinami, jak im obiecał generał. Gdy tylko Geronimo znalazł się w pociągu, Miles, który tylko sobie przypisywał zasługę jego pojmania, rozbroił apackich zwiadowców i bez żadnych ceregieli wysłał ich na wygnanie na Florydę w towarzystwie zwalczanych przez nich wrogów. Tę zdradę powszechnie potępiono, ale apacy jeńcy wojenni, przez całe lata pozostali na Florydzie i w Alabamie. Na koniec zesłano ich do fortu Sill w Oklahomie i dopiero w 1913 roku niektórzy z nich mogli udać się do rezerwatu Mescalero w Nowym Meksyku. Nigdy jednak nie pozwolono im wrócić do ojczyzny w Arizonie i dolinie nowomeksykańskiej rzeki Mimbres. □

Donald E. Worcester

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Donald E. Worcester jest emerytowanym profesorem historii Texas Christian University w Fort Worth. Jest specjalistą od historii amerykańskiego Południowego Zachodu i Indian z tego regionu oraz Ameryki Łacińskiej. W swym dorobku literackim ma blisko 30 książek, w tym *The Apaches: Eagles of the Southwest*. Artykuł *The Apaches in the History of the Southwest* ukazał się w styczniu 1975 roku w „New Mexico Historical Review” nr 50. Przekład i publikacja w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą autora.

Niepisane prawa Apaczów

Sądy

Jeśli jakiś Indianin dozna krzywdy z ręki swego współplemieńca, a nie ma ochoty wymierzać mu sam sprawiedliwości, może wnieść skargę do wodza szczepowego. Jeśli nie jest w stanie stawić czoła winnym osobiście, a uważa wnoszenie skargi za uwłaczające, każdy może miast niego powiadomić wodza o wydaniu, a wówczas konieczne staje się przeprowadzenie śledztwa i odbycie sądu. Zarówno oskarżony, jak oskarżyciel mają prawo do powoływania świadków, którym nie przerywa się zeznań pytaniami, lecz po prostu wysłuchuje tego, co chcą o sprawie powiedzieć. Świadków nie zaprzysięga się w przekonaniu, że nie będą składali fałszywych zeznań w sprawie dotyczącej współplemieńców.

Sądowi przewodniczy wódz szczepowy, jednakowoż jeżeli w grę wchodzi jakieś poważne przestępstwo, zaprasza on dwóch lub trzech innych wodzów, aby zasiedli wraz z nim. Wspólnie orzekają oni po prostu, czy oskarżony jest winny czy nie. Jeśli zostanie uznany za niewinnego, sprawa na tym się kończy, a skarżący traci prawo do osobistej zemsty, jeżeli bowiem chciał brać sprawiedliwość we własne ręce, nie powinien był godzić się na sąd, który go prawa tego pozbawia. Jeśli natomiast oskarżony zostanie uznany za winnego, strona pokrzywdzona wyznacza karę, którą wódz i jego towarzysze zwykle potwierdzają.

Adopcja dzieci

Gdy czyjekolwiek dzieci zostaną sierotami w wyniku działań wojennych bądź innych przyczyn, to znaczy, gdy oboje rodzice nie żyją, wódz szczepowy może je adoptować lub oddać podług swojego uznania. W wypadku, gdy jakiś Indianin jest wydany ze szczepu, może swoje dzieci zabrać ze sobą, jeśli chce. Jeśli

natomiast pozostawi je szczepowi, o tym, co się z nimi stanie, decyduje wódz, a hańba ojca nie przechodzi na nie.

Przygotowanie wojownika

By zostać przyjętym na wojownika, młodzieniec musi się czterokrotnie wyprawić z wojownikami swego plemienia na wojenną ścieżkę.

Podczas pierwszej wyprawy będzie dostawał tylko najpośledniejsze pożywienie, którym musi się zadowolić bez szemrania. Podczas żadnej z czterech wypraw nie wolno mu wybierać sobie pożywienia, jak to czynią wojownicy, lecz jeść to, co mu pozwolą.

Podczas wszystkich czterech wypraw musi spełniać funkcje służebne - obrządzać konie, gotować pożywienie i wykonywać wszystkie należne obowiązki bez przypominania. Wie, co jest do zrobienia, i powinien to robić nie czekając na rozkaz. Nie wolno mu się przez cały czas odzywać do żadnego z wojowników, chyba że odpowiada na zadane pytanie lub otrzyma polecenie mówienia.

W trakcie tych czterech wypraw musi się nauczyć rytualnych nazw wszystkiego, co ma związek z wojną, bowiem żadna z tych rzeczy nie może być nazywana swoim imieniem z chwilą, gdy szczep wkroczy na ścieżkę wojenną. Wojna to uroczysta okazja religijna.

Jeżeli po czterech wyprawach wszyscy wojownicy orzekną zgodnie, że młodzieniec się przykładał, nie odzywał nie w porę, zachowywał roztrąpnie, wykazywał męstwo w walce, znosił wszystkie trudy bez skargi i nie przejawiał tchórzostwa ani żadnej innej słabości, może zostać głosami rady przyjętym na wojownika. Jeżeli jednak którykolwiek wojownik ma wobec niego jakiekolwiek zastrzeżenia, zostanie on poddany dalszym próbom i dopiero, gdy wyjdzie z nich zwycięsko, jego imię może zostać ponownie przedłożone radzie. Kiedy do-

wiedzie ponad wszelką wątpliwość, że potrafi znosić trudy bez skargi i że obcy mu jest strach, zostaje dopuszczony do rady wojowników z najniższą rangą. Potem nie ma już formalnych prób dla pozyskania wyższych godności, lecz za ogólną zgodą młody wojownik zajmuje właściwe miejsce na polu bitwy. Jeśli je utrzyma z honorem, wolno mu je zachować na stałe, a następnie może zostać wysunięty lub sam się wysunąć na wyższe miejsce, czego żaden wojownik nie ośmieli się uczynić bez uprzedniego zapewnienia starszych szczepu, że jego zachowanie na poprzednim miejscu zasłużyło na pochwałę.

Od tego momentu formalnej aprobaty rady wojowników potrzebuje jedynie do wyboru na wodza.

Tańce

Wszystkie tańce uważane są za obrzęd religijny i odbywają się pod przewodnictwem wodza i szamana. Mogą mieć charakter towarzyski lub wojenny, lecz nigdy nie są pozbawione cech rytualnych.

Tańce towarzyskie

Na początku września 1905 roku rozgłosiłem wśród Apaczów, że moja córka Eva jest już kobietą i że powinna teraz zaprzestać dziecięcych zabaw i zająć pozycję panny na wydaniu. Miała po raz pierwszy ukazać się w tej roli na tańcach plemiennych i poczynając od tej chwili wojownicy mogli ubiegać się o jej rękę. Rozesłaliśmy do wszystkich Apaczów, jak również wielu Komanczów i Kiowów zaproszenie do stawienia się na ogólne tańce na łące przy południowym brzegu Rzeki Szamanów w pobliżu wioski Naichego, byłego wodza Chokonenów, pierwszego wieczora pełni we wrześniu. Zabawa miała trwać dwa dni i dwie noce. Nie zaniedbaliśmy niczego dla zapewnienia dobrego samopoczucia gości oraz nienaganego poszanowania rytuału religijnego.

Najsamprzód Eva wysforowała się spośród kobiet i przetańczyła raz dookoła obozowego ogniska; potem wyszła z druga dziewczyna i przetańczyły dwa razy w koło; potem z dwiema dziewczynami przetańczyły trzy razy; po-

tem wyszły we cztery i przetańczyły cztery razy; tak trwało może godzinę. Następnie na murawę wyszli szamani, rozebrali się do pasa ukazując dziwnie wymalowane torsy i odtańczyli tańce religijne. Po chwili wyszli tancerze wesołkowie i wielce ubawili widzów.

Teraz członkowie plemienia ujęli się za ręce i długo krążyli dookoła obozowego ogniska, zapraszając do udziału wszystkich przyjaciół plemienia. Kiedy ten taniec dobiegł końca, wielu starszych odeszło i rozpoczął się taniec kochanków.

Wojownicy ustawili się pośrodku koła, kobiety zaś parami zbliżały się ku nim i wskazywały wojownika, którego wybrały sobie za tancerza. Taniec posuwał się tam i z powrotem po promieniu koła. Wojownik stał twarzą do obu kobiet i gdy one posuwały się ku środkowi, on cofał się, gdy zaś one wracały tyłem ku brzegowi koła, on sunął naprzód twarzą do nich. Trwało to dwie, trzy godziny, po czym muzyka się zmieniła. bezzwłocznie wojownicy gromadzili się znów pośrodku koła i każda kobieta wybierała sobie spośród nich tancerza. Tańczono w ten sposób co przedtem, tyle że już nie we troje, a we dwoje. W czasie tego tańca, który trwał aż do świtu, wojownik (jeśli tańczył z panną) mógł się oświadczyć i jeśli dziewczyna go przyjęła, zgłaszał się wkrótce do jej ojca, żeby dobić targu.

Przy tego rodzaju okazjach po zakończeniu tańca wojownik wręcza prezent kobiecie, która go wybrała na tancerza. jeżeli jest ona zadowolona z prezentu, wojownik się żegna; jeśli nie, sprawa opiera się o kogoś ze starszyny (szamana bądź wodza), który orzeka, jaki dar będzie godziwy. Dla mężatki wartość prezentu powinna wynosić dwa do trzech dolarów, dla panny przynajmniej pięć. Częstokroć jednak panny otrzymują bardzo cenne prezenty.

Podczas „tańca kochanków” wśród tancerzy krąży szamani, aby odpędzać od nich złe duchy.

Może już nigdy nie będę miał okazji do zwołania moich braci na tańce, ale myślę - a chyba się nie łudzę - że nieprędko pójdą w niepamięć nasze tańce plemienne przy pełni księżyca, które w przeszłości przynosiły nam tyle radości.

Fragmenty książki *Geronimo żywot własny* w przekładzie Krzysztofa Zarzeckiego. „Iskry”. Warszawa 1975, s. 151-157.

POLSKIE OPISANIE ŚWIATA (3)

Badania i penetracje terenowe

(XX w.)

Cechą wyróżniającą ten okres „polskiego opisanie świata” od wcześniejszych jest prowadzenie stacjonarnych badań terenowych przez samych etnografów i etnologów. Często elementem integralnym są profesjonalnie zgromadzone i udokumentowane kolekcje zabytków etnograficznych, na które zapotrzebowanie zgłaszają muzea krajowe. Nowym sposobem organizacji wyjazdów badawczych są ekspedycje naukowe, pozwalające na przeprowadzenie bardziej kompleksowych badań.

Zapowiedzią takich studiów były badania Jerzego Lotha, geografa, który przez okres kilkunastu miesięcy (1905-06) prowadził wnikliwe obserwacje Indian Mosquito i Sumo na wschodnim wybrzeżu Nikaragui i Hondurasu. Ich zakres obejmował środowisko naturalne, kulturę materialną, wierzenia i mity, wzajemne zależności oraz język. Plonem tego pobytu był artykuł *Przyczynek do etnologii i etnografii szczepów Miskito i Sumo wraz z uwagami o języku Miskito* (1916), stanowiący solidną monografię źródłową, będący jednym z pierwszych opracowań tychże kultur. Autor *Przyczynku...* zgromadził dość pokaźny zbiór obiektów rękodziela obu kultur, ale przekazany do warszawskiego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, spłonął w czasie wojny.

Pierwszym polskim antropologiem prowadzącym badania terenowe w Ameryce był Bronisław Malinowski. Przy okazji wykładów na uniwersytetach Południowego Zachodu USA w roku 1926 i 1936 przebywał u Indian Hopi, a w latach 1940-41, wspólnie z etnologiem meksykańskim, Julio de la Fuente, zajmował się problematyką targów w kulturze Zapoteków w meksykańskiej dolinie Oaxaca. Pozostał po tym ślad w postaci wspólnego opracowania.

Niejako kontynuatorem polskich zainteresowań społecznościami Meksyku była Maria Frankowska, nestorka amerykanistyki w naszym kraju. Podczas trzech swoich pobytów w latach 1967-81, koncentrowała się ona na zagadnieniach współczesnej sztuki ludowej i synkretyzmu religijnego Zapoteków, Misteków, Majów i Nahuja. Jej dziełem były artykuły i liczny zbiór sztuki ludowej i rękodziela kultur tubylczych Wyżu Meksykańskiego, zebrany dla stołecznego Muzeum Etnograficznego. Etnologiem muzealnikiem, który w latach 1992-94 prowadził specjalistyczne badania terenowe wśród Indian Nahuja i Otomi w centralnym Meksyku, była Teresa Walendziak. Dotyczyły one wybranych technik tkackich (ikatu, batiku i plangi) na przestrzeni ostatnich pięćset lat (materiały w opracowaniu).

Interesującym uzupełnieniem współczesnych penetracji w Ameryce Środkowej mogą być obserwacje poczynione przez biologa Andrzeja Myrche, który w połowie lat siedemdziesiątych dokonał w Panamie wartościowych obserwacji etnograficznych wśród Indian Cuna, Embera i Guaymí. Zebrał je i opublikował w książce *Z wizytą u panamskich Indian* (1979).

Maria Zachorowska, w czasie bytności w Peru w latach 1973-75 zajęła się sztuką ludową peruwiańskich Keczua w zakresie zdobnictwa tykw. Zgromadziła blisko sto zabytków tkactwa i współczesnej sztuki ludowej Indian andyjskich z przeznaczeniem dla krakowskiego Muzeum Etnograficznego. Zbliżył zakres zainteresowań, a skupiający się na ceramice Keczua, przejawiała w swoich penetracjach Roma Mańkowska-Krzanowska w roku 1973. Wraz ze mężem, archeologiem A. Krzanowskim, zebrali bogatą kolekcję rękodziela Indian Andów peruwiańskich, znajdującą się w muzeach et-



Spotkanie u źródeł. Dorzecze środkowego Orinoko, Wenezuela 1987

nograficznych Krakowa i Szczecina. Wzięli oni także udział w interdyscyplinarnej Polskiej Wyprawie Naukowej w Andy do Peru w 1978 roku. Zespołem etnografów kierował Aleksander Posern-Zieliński, a w jego skład, prócz R. Krzanowskiej, weszła także T. Walendziak. Badaniami objęto osady Keczua w dolinie Cayash (na północ od Limy), penetrując przy tym kilka innych departamentów. Miały one na celu uchwycenie aktualnego stanu kultury tradycyjnej i jej współczesnych przeobrażeń. Plonem były liczne artykuły i książki A. Posern-Zielińskiego, T. Walendziak, R. Krzanowskiej oraz bogate kolekcje (od stu do kilkuset sztuk każda) z pełną dokumentacją dla muzeów w Warszawie, Poznaniu, Szczecinie i Krakowie.

Pozostałe poczynania miały indywidualny charakter. Przykładem takim może być działalność badawcza Magdaleny Śniadeckiej-Kotarskiej, której kontakt z autochtonicznymi mieszkańcami Andów datuje się od 1977 roku. Później jeszcze czterokrotnie przebywała

w Peru i Ekwadorze, obejmując swoimi zainteresowaniami całokształt kultur Keczua, Saraguru i Otavalo, co pozostawiło swój ślad w kilku opracowaniach.

Amazonia jest trzecim obszarem badawczym przedstawicieli polskiej amerykanistyki. Początki sięgają przełomu 1947/48 roku, kiedy to Anna Kowalska-Lewicka przez kilka tygodni przebywała w osadach Shipibo nad górnym Ucayali (Peru). Przywiezione materiały stały się podstawą dla paru artykułów i książkowej monografii kultury materialnej obserwowanej społeczności.

Systematyczne badania terenowe zostały podjęte dopiero w 1981 roku przez Studencką Wyprawę Etnologiczną „Amped’81” z Poznania na terenie Wenezueli. Kierowana przez Mariusza Kairskiego grupa etnografów, w skład której weszli Janusz Jaskulski i Jerzy Stankiewicz, przeprowadziła blisko trzymiesięczne badania stacjonarne w osadach Panare ze środkowego dorzecza Orinoko, a także penetracje wśród Indian Cofán w pd-wsch. Ko-

lumbii. Eksploracje te były kontynuowane przez M. Kairskiego i J. Jaskulskiego oraz M. Wołodźko podczas drugiej wyprawy „Venezuela 86/87”. Były one prowadzone we wsiach Panare, Hoti, Makiritare i Sanema, a dotyczyły wytwórczości, gospodarki, struktury społecznej, mitologii i stopnia akulturacji. Ich rezultatem, prócz prac dyplomowych, stały się artykuły M. Kairskiego, J. Jaskulskiego oraz kilka monograficznych kolekcji kultury technicznej badanych grup dla placówek w Caracas, Poznaniu, Warszawie i Szczecinie. Liczące łącznie około tysiąca obiektów, w pełni ilustrują poszczególne techniki wyrobów, rodzaje broni, różnorodność ozdób i przedmiotów o charakterze obrzędowym, w tym instrumenty muzyczne. Zostały one zgromadzone przez J. Jaskulskiego przy współpracy pozostałych uczestników.

Studia terenowe nad społecznościami kopieńczy i myśliwych Amazonii były dalej prowadzone przez M. Kairskiego w 1991 roku (Panare, Hoti – Wenezuela, Waorani, Cofán –

Ekwador). Znalazło to swój wyraz w postaci niewielkiej kolekcji broni zakupionej przez gdańskie muzea oraz opracowaniach. Na szczególną uwagę zasługuje ostatnia pozycja zatytułowana *Situación actual etno-cultural de los grupos etno-linguísticos nativos de América del Sur* (wyd. Abya-Yala, Quito). Jest to dwutomowa publikacja ukazująca w formie atlasowej grupy etno-lingwistyczne Ameryki Południowej, od Ziemi Ognistej aż po Honduras, w następującym układzie: areale kulturowe, podział językowy, stopień akulturacji oraz aktualna szczegółowa lokalizacja każdej społeczności tubylczej. Dzieło to jest jednym z nielicznych tego typu w całej literaturze amerykańskiej.

Dla uzupełnienia wyprawowego nurtu badań w minionych latach, warto odnotować dwie ekspedycje, po których bytności na kontynencie amerykańskim pozostały zbiory muzealne. Dotyczy to poznańskiej wyprawy alpinistycznej „Andy 74/75” pod kierunkiem M. Grebieńskiego (niecałe pół setki obiektów kultury Ke-

czua i Aymara – Muzeum Etnograficzne w Warszawie) i wyprawie katowickich studentów ekologii do Montanii peruwiańskiej na początku lat osiemdziesiątych (ponad trzydzieści sztuk strojów, ozdób i broni Shipibo, Campa i Conibo – Muzeum Narodowe w Szczecinie).

Osoba, której rozliczny dorobek amerykańskich studiów i eksploracji terenowych nadal pozostaje nieznanym w kraju, jest ciągle aktywny Borys Malkin. Wzorem wielkich podróżników XVIII i XIX wieku, dzięki gruntownym i rozległym studiom w USA, łączy w sobie zainteresowania entomologiczne i herpetologiczne z archeologicznymi i etnograficznymi. W swoich badaniach skupia się na dogłębnym poznaniu kultury materialnej Indian, dokonując zarazem jej doskonałą dokumentację fotograficzną i gromadząc kompleksowo zbiory muzealne. Drugim nurtem zainteresowań tego wszechstronnego badacza jest etnozologia. W latach 1953-94 B. Malkin odbył kilkadziesiąt indywidualnych wypraw do ponad 40 grup tubylczych Ameryki Łacińskiej, głównie zaś na terenach Amazonii i Gran Chaco. Plonem tych eksploracji jest kilkadziesiąt artykułów i kilka opracowań, głównie w czasopiśmie zagranicznych (w Polsce opracowania popularno-naukowe w „Poznaj Świat”). Drugim ważnym wynikiem pasji badawczej Malkina jest zebranie ponad stu kolekcji etnograficznych (łącznie ok. 20 tys. obiektów), nie licząc zbiorów archeologicznych, entomologicznych i herpetologicznych, dla największych muzeów Europy Zachodniej, USA i Kanady. Najlepsze kolekcje pochodzą z kultury Urubu, Tikuna i Caraja (Brazylia), Cofán i Noanama (Kolumbia). Jego dziełem jest także nakręcenie 22 filmów etnograficznych prezentujących procesy technologiczne i funkcje użytkowe np. dmuchawki, ceramiki, łodzi czy plecionek. W Polsce jedynie trzy muzea są w posiadaniu obiektów zgromadzonych przez Malkina. Najwięcej, blisko 800 eksponatów otrzymało w darze Muzeum Etnograficzne w Krakowie, a ponad 400 i ok. 100 zakupiły Muzeum Narodowe w Poznaniu i Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie. Szczególnie cenna jest kolekcja ozdób z piór Indian Urubu i Caraja, zestaw instrumentów muzycznych, w tym bęben szczelinowy Noanama i łódź dębiana z kilem Indian Tikuna.

W latach 1970-71, wspólnie z B. Malkinem przebywał u Noanama, Embera, Guajiro i Cofán Przemysław Burhard. Niewielkie ilości

obiektów trafiły do Warszawy i Łodzi, a drukiem ukazało się kilka artykułów oraz książka *Indianie z peryferii* (1973).

Niejako poszerzeniem i uzupełnieniem badań etnologów są studia przedstawicieli dyscyplin pokrewnych, muzykologów i językoznawców. Choćby prace Iwony Stoińskiej nad wpływem języków tubylczych na język hiszpański w Wenezueli, czy badania archeoetnomuzykologiczne Anny Gruszczyńskiej-Ziółkowskiej w zakresie instrumentarium prekolumbijskich i współczesnych kultur andyjskich, których opracowania ukazały się drukiem. Oba działania związane są z udziałem w ekspedycjach badawczych do Wenezueli oraz Peru i Ekwadoru.

Jeszcze dwie osoby z polskim rodowodem zajmowały się muzyką autochtonicznych mieszkańców Ameryki. Osiedli w czasie wojny w Szwajcarii Zygmunt Estreicher, na podstawie materiałów zebranych m.in. przez G. van den Steenhoven w Kanadzie w roku 1949, opublikował kilka wartościowych artykułów prezentujących muzykę Eskimosów alkańskich, grenlandzkich i kanadyjskich. Studia terenowe wśród Inuitów (Eskimosów) znad Zatoki Hudsona w Kanadzie prowadził w latach siedemdziesiątych Ramon Peliński. Wydał on książkę *La Musique de l'Inuit du Caribou* (1981), poświęconą metodologii w badaniach muzyki eskimoskiej. Gwoli informacji należy wymienić tu jeszcze Alfreda Jahna, wrocławskiego geografę, który w swej relacji z pobytu na Alasce (1960, 1970) podaje sporo danych o życiu codziennym Eskimosów.

Nie sposób nie wspomnieć o efektach działalności na polu etnologii amerykańskiej polskich misjonarzy, choćby ze zgromadzenia werbistów czy salezjanów, którzy w swojej formacji intelektualnej, podobnie jak inne zakony, coraz większą wagę przywiązują do przygotowań w zakresie antropologii kulturowej. Początki takiego podejścia miały już miejsce sto lat temu, kiedy to przybyły na Ziemię Ognistą salezjanin Jan Sikora opracował w języku tubylców zbiór modlitw dla Indian Ona. Niedługo potem założył w Buenos Aires pierwsze muzeum misyjno-etnograficzne gromadzące obiekty z kultur Alakaluf, Ona i Yaghan. Jan Sutka, z tego samego zgromadzenia, w 1961 roku, wspólnie z innymi doprowadził do powstania w Ekwadorze „Federación Shuar” – Federacji Indian Jivaro. Autorem źródłowej monografii o Indianach Yanomami jest Bolesław



Borys Malkin z Indianinem Urubu-Kaapor, wschodnia Brazylia 1965



Ładowanie awionetki w osadzie Indian Hodi, Wenezuela 1987, fot. J. Jaskulski

Rozmus, pracujący nad górnym Orinoko w latach 1977-79. Wśród werbistów interesujące studia nad mitologią IndianAche w Pa-ragwaju rozpoczął w latach 70-tych Aleksander Pytel. Badania te są częściowo kontynuowane przez etnologa, misjonarza Dariusza Piwowarczyka, pracującego obecnie z Ypetimi (podgrupa Ache). Terenowe studia nad mitem „yurupari” Indian Yukuna, jednej z kultur Tukano w Amazonii kolumbijskiej, realizował z powodzeniem w latach 1985-89 Tadeusz Mich. Plonem tego był interesujący artykuł, a także zbiory muzealne z kilku jeszcze innych grup tubylczych. Dużym osiągnięciem innego werbisty, Piotra Nawrota jest opracowanie jednego z pierwszych na świecie zbioru manuskryptów muzycznych, powstałych w redukcjach jezuickich Paragwaju w wieku XVII-XVIII i wydanie ich drukiem. Część z nich została wykonana przez chór i orkiestrę z udziałem badacza. W opinii P. Nawrota, większość anonimowych kompozytorów rekrutowała się z uzdolnionych muzycznie Indian Guarani, uczniów szkół jezuickich. Istotną funkcję poznawczą i edukacyjną pełnią

zbiory w muzeach misyjno-etnograficznych wielu zakonów i zgromadzeń misyjnych w Polsce. Przodującym w tej dziedzinie jest ośrodek werbistów w Pieniężnie, a także placówka salezjanów w Czerwińsku nad Wisłą. Obiekty, których liczba sięga rzędu kilkuset – do tysiąca sztuk z terenów Ameryki, są doskonałą ilustracją tych kultur tubylczych, wśród których prowadzona jest działalność misyjna.

Ważną rolę, choć z różnym skutkiem, w popularyzacji problematyki indiańskiej w kraju nadal spełniają pisarze, dziennikarze i pasjonaci tematu. W pierwszym rzędzie należałoby wymienić Arkadego Fiedlera, którego fascynacja kulturami tubylczymi obu kontynentów sięga okresu międzywojennego i trwała do lat siedemdziesiątych. Swoje wizyty u Corrado, Jivaro, Galibi, Chama i potomków Indian kanadyjskich opisał w kilku książkach podróżniczych. Niejako przedłużeniem pasji pisarza jest działalność Marka i Arkadego Radosława, kustosz Muzeum-Pracowni Literackiej A. Fiedlera. Jest ona ukierunkowana bardziej na poznanie przeszłości Indian północnoamerykań-

skich w formie beletrystycznej. Pewną pasję etnograficzną wykazują poczynania Wiktora Ostrowskiego, pisarza i alpinisty, oraz Ryszarda Białousa, lekarza, którzy mieszkając w Argentynie mieli okazję bliżej poznać życie codzienne Indian Mapuche. Antoni Halik, filmowiec i pisarz, podczas swoich maratonów podróżniczych, swoje etnograficzne impresje, w dużej mierze z obszarów Amazonii, utrwalił na taśmie filmowej i kartach książek, podobnie jak na Wyżu Meksykańskim czyniła to Elżbieta Dzikowska. Jeden z filmów A. Halika o ludobójstwie Indian brazylijskich zdobył w 1972 roku w USA główną nagrodę za najbardziej humanitarny materiał dokumentalny.

Podobnie inni filmowcy rejestrowali swoimi kamerami czy to indiańskie mity (Tadeusz Bortnowski, araukańska legenda o Calfu Malén), czy życie codzienne i obyczaje mieszkańców brazylijskiej dżungli (Zygmunt Adamski, Edmund Bielawski). Interesująco i rzetelnie powyższą tematykę przedstawił w swoich filmach z Montanii peruwiańskiej Stanisław Szwarc-Bronikowski.

Łukę we współczesnym „polskim opisanie świata Ameryki Północnej” starają się wypełnić m.in. Polskie Stowarzyszenie Indian i Sztumskie Koło Zainteresowań Kulturą Indian. Powstały one z fascynacji kulturami Apaczów, Siuksów i Czarnych Stóp, przy wydatnym udziale Stefani Antoniewicz i Stanisława Suptatowicza, legendarnego Sat Okha, Indianina z plemienia Szawanezów. W chwili obecnej na łamach pism „Tawacin” i „Kayas ochi” prezentują aktualną sytuację Indian USA i Kanady. Czynią to w formie przedruków, tłumaczeń materiałów źródłowych i artykułów własnych. Godne uwagi są osiągnięcia translatorskie z dziedziny literatury pięknej, np. zbiór prozy i poezji indiańskiej pod red. M. Maciołka („Literatura na świecie” 1989) oraz polskie wydanie „północnoamerykańskiej biblii” *Czarny Łoś. Dzieje [...] Siuksów Oglala...* (1994) w przekładzie M. Maciołka i M. Nowocienia. Sztuka i rękodzieło ludów Równin, Wielkich Jezior i Południowego Zachodu prezentowana jest w liczbie ok. 300 sztuk kolekcji Leszka Michalika ze Szumu. Wprawdzie większość z nich stanowią wiernie wykonane kopie, jednak ich walory poznawcze i edukacyjne są niezaprzeczalnym atutem wielu wystaw organizowanych w klubach i muzeach.

Niezwykłą formę opisanie indiańskich dziejów obrał Korczak Ziółkowski, urodzony w ro-

dzinie polskich emigrantów. Podczas wspólnej pracy z G. Borglunem nad wyrzeźbieniem głów czterech prezydentów USA: Waszyngtona, Lincolna, Jeffersona i Roosevelta, poznał jednego z wodzów Lakota. Pod wpływem wizji Stojącego Niedźwiedzia, Polak postanowił złożyć hołd Szalonemu Koniowi, jednemu z najwaleczniejszych wojowników Równin, w postaci olbrzymiej rzeźby. I tak, od 1947 roku Ziółkowski, wysadzając systematycznie setki ton skał zamienia Górę Thunderhead w Górach Czarnych w największy na świecie pomnik wysokości 170 m i długości 195 m. Po śmierci rzeźbiarza w 1982 roku jego ideę realizuje rodzina, m.in. w postaci Fundacji Szalonego Konia, w ramach której działa Muzeum Indian Ameryki Północnej, uniwersytet, centrum szkolenia medycznego i system stypendialny dla indiańskich uczniów i studentów.

Nie byłoby „polskiego opisanie Ameryki”, gdyby nie zmundne i wieloletnie studia takich uczonych jak np. Maria Paradowska czy Janusz Tazbir. Byli oni jednymi z pierwszych badaczy dążących do całościowych ujęć historii Polaków w Ameryce Łacińskiej czy pierwszych polskich zainteresowań Nowym Światem. □

Janusz Jaskulski

Bibliografia (wybór)

- Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów.* Red. Janusz Jaskulski. Poznań 1992.
- Polskie opisanie świata.* Red. Antoni Kuczyński. Wrocław 1995.
- Maria Paradowska: *Polacy w Ameryce Południowej.* Wrocław 1977.
- Maria Paradowska: *Śladami Indian. Antologia polskich relacji o Indianach Ameryki Południowej.* Wrocław 1979.
- Maria Paradowska: *Polacy w Meksyku i Ameryce Środkowej.* Wrocław 1985.
- Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów. Antologia polskich relacji o mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej.* Wrocław 1989.
- Janusz Tazbir: *Rzeczpospolita szlachecka wobec wielkich odkryć.* Warszawa 1973
- Longin Pastusiak: *Pierwsi polscy podróżnicy w Stanach Zjednoczonych.* Warszawa 1980.
- Wacław i Tadeusz Ślabczyńscy: *Słownik podróżników polskich.* Warszawa 1992.

CROWFOOT

Wódz Czarnych Stóp

Stopa Wrony (Crowfoot) był wybitnym wodzem Czarnych Stóp w czasie burzliwego dwudziestolecia, w którym oglądano znikanie stad bizonów, podpisywanie traktatów, głód, zbrojne powstanie i początek nowego życia pod jarzmem białego człowieka. Dzięki swym cechom przywódczym i pokojowym zamiarom, Stopa Wrony uważany był przez całe swe życie za wielkiego przyjaciela białych, za człowieka, który był lojalnym poddanym królowej Wiktorii. Jak zatem taki człowiek mógł znaleźć posłuch wśród wojowniczych Czarnych Stóp? Czy naprawdę był tylko sługusem rządu, czy kimś więcej niż „dobrym” Indianinem?

Materiał do tej książki zaczęto gromadzić właśnie pod kątem znalezienia odpowiedzi na te i inne pytania, bo jakkolwiek imię Stopy Wrony było powszechnie znane, wydarzenia, które do tego doprowadziły, były zaledwie kilkoma podniecającymi przygodami, w których wystąpił jako przyjaciel białych. W rzeczywistości Stopa Wrony był silnym przywódcą, który za jedyny cel życia obrał sobie dobrobyt swych ludzi. Manifestował tylko jedną lojalność – wobec swego ludu.

Na jednej ze swych pierwszych wypraw Duch Niedźwiedzia zdobył prawo do przyjęcia męskiego imienia. Wybrał imię należące do rodziny, Chowający Nóż – imię swego zmarłego ojca. Strzelający Blisko, Duch Niedźwiedzia i Chowający Nóż. Każde kolejne imię zastępowało poprzednie. Był to naturalny proces w plemieniu, gdzie mężczyzna mógł mieć nawet dziesięć imion w ciągu całego życia. Jednak to nowe imię nie pozostało przy nim długo, pojawiło się inne, które wkrótce przyćmiło wszystkie dotychczasowe. Brzmiało ono *Isapo-muxika*, Wielka Stopa Indianina Wrony (Crow Indian's Big Foot), czy – jak skrócili je później tłumacze – Stopa Wrony (Crowfoot).

Zgodnie z plemienną tradycją, tylko jedna osoba nosiła wcześniej to zaszczytne imię. Był to krewny Wiele Imion, prawdopodobnie wuj lub starszy brat, który padł ofiarą zdrady na dwa lata przed urodzeniem się Stopy Wrony. Pierwszy Stopa Wrony był odważnym mężczyzną, który został wodzem dzięki swym wyczynom. Pewnego razu był ze swymi towarzyszami na wojennej wyprawie i natknęli się na dopiero co opuszczony obóz Wron. Wjeżdżając na polanę, Czarne Stopy zobaczyli wielki odcisk

stopy w miękkiej ziemi przy strumieniu. Z ciekawości przykładali własne stopy do odcisku, ale wszyscy mieli za małe nogi. Wtedy spróbował sam wódz. Ku zdumieniu i uciesze pozostałych, jego stopa idealnie wypełniła wielki odcisk pozostawiony przez nieznanego Wronę. Na pamiątkę tego wydarzenia wódz przyjął imię Wielka Stopa Indianina Wrony.

Kariera pierwszego Stopy Wrony skończyła się tragicznie w 1828 roku. Czarne Stopy zgodzili się zawrzeć pokój z Szoszonami i Stopa Wrony przewodził delegacji czterestu wojowników, którzy udali się na spotkanie ze swym starym wrogiem. Gdy przekroczyli Missouri, wpadli w pułapkę zastawioną w górach przez Szoszonów. Nikt z tej pokojowej wyprawy nie uszedł z życiem.

Aby szybko pomścić taką zniewagę, Czarne Stopy zwołali wielką wyprawę, która zaatakowała wioskę Szoszonów, złożoną z ośmiuset tipi. W bitwie, która trwała cały dzień i noc, zwycięzcami okazali się Czarne Stopy. Ze względu na bohaterstwo i zdradziecką śmierć, pierwszy Stopa Wrony pozostawił imię, które darzono wielkim szacunkiem. Wszyscy uważali, że zasługuje na nie tylko ten, kto będzie

wielkim wodzem, stąd też przez długi czas nikt nie nosił tego imienia.

Historia obrania go przez młodego Stopę Wrony to opowieść o bohaterstwie, znana wszystkim plemionom narodu Czarnych Stóp. Stopa Wrony był wtedy nastolatkiem. Brał udział w kilku wyprawach wojennych i wykazał się dużymi umiejętnościami wojownika, ale nie dokonał jeszcze czynów, godnych opowiedzenia przy ognisku czy w świętym kręgu podczas Tańca Słońca.

Zgodnie ze zwyczajem, wyprawę tę zorganizowali członkowie wszystkich trzech plemion, pod wodzem z plemienia Kainów. Postanowili napaść na Wrony, swych odwiecznych wrogów. Oddział był duży i w jego skład wchodziło kilkunastu młodzików, w tym Stopa Wrony i jego brat mleczny, Trzy Byki.

Oddział ruszył na południe od kraju Czarnych Stóp, przeprawił się przez bród na Missoury i przebył Dorzecze Judyty, kierując się nad Yellowstone w dzisiejszej Montanie. Przed osiągnięciem rzeki zwiadowcy wrócili z wiadomością, że przed nimi znajduje się duży obóz Wron. Gdy podkradli się pod niego, zobaczyli duże tipi pomalowane w cztery czerwone pasy i przypomnieli sobie, że jest to tipi Pieganów, które kiedyś zostało porwane przez wroga.

– Widzicie to pomalowane tipi? – spytał wódz Kainów. – Ten, kto pierwszy dostanie się do niego i zaliczy dotknięcie, w przyszłości będzie prowadził ludzi na polowania i wojny.

Zaatakowali na dany sygnał. Stopa Wrony pobiegł w kierunku obozu, a kilku Wron, ukrytych w zaroślach, otworzyło do niego ogień. Jedna z kul trafiła go w ramię, przechodząc przez ciało, ale nie naruszając kości. Stopa Wrony potknął się i upadł, ale zaraz powstał i pognął w stronę pomalowanego tipi. Teraz już wyprzedzał wszystkich pozostałych. Wrony ciągle do niego strzelali, ale on podbiegł do paskowanego tipi i uderzył je swym batem, zanim sam zważył się na ziemię. Trzy Byki, który był tuż za nim, zaciągnął go w bezpieczne miejsce za pobliskim wałem.

Po zakończeniu najazdu, wojownicy zebrali się wokół rannego chłopca. Gdy Stopa Wrony powiedział, że dotknął tipi, potwierdziło to kilku świadków.

– Ze względu na ten czyn – powiedział chłopiec – przyjmę imię Stopa Wrony.

Dowódca wyprawy skinał głowę.

– Tak. Dotknąłeś to tipi i staniesz się przywódcą ludzi – potwierdził. (...)

W latach swej młodości Stopa Wrony wielokrotnie brał udział w wojennych wyprawach. Ogółem walczył w dziewiętnastu bitwach i sześć razy był ranny. Wszystkim udowodnił, że potrafi być dzielny, a nawet bezlitosny. Gdy tylko nadarzała się okazja, pokazywał, że ma odwagę wodza, nie wojownika.

Pewnego razu, Stopa Wrony poprowadził grupę Czarnych Stóp na Kri. W bitwie obie strony zajęły pozycje w zagłębieniach, przypominających okopy. Stamtąd nawzajem zasypywali się gradem kul i strzał. Stopa Wrony znużony takim sposobem walki, opuścił bezpieczną barykadę i zaczął się czołgać w stronę linii wroga. Strzały i kule miały go ze świętem, ale on ciągle sunął do przodu, aż trafił na niewielkie wgłębienie na środku pomiędzy obu walczącymi stronami. Tam sięgnął do torby, wyciągnął fajkę i zwrócił się do swych towarzyszy, wołając:

– *Okii*, co z wami? Chodźcie ze mną zapalić!

Jego towarzysze wiedzieli, że było to zaproszenie i jeśli nie pójdą do niego, okażą się tchórzami, że nie chcieli z nim zapalić. Kilku wojowników zaczęło się ostrożnie czołgać. Kri widząc, że się zbliżają, opuścił swe pozycje. Czarne Stopy szybko pobiegli za nimi i całkowicie ich rozgromili.

Starsi ludzie opowiadali także o innych śmiałych wyczynach. Wspominali, jak raz Stopa Wrony wyrwał nabitą strzelbę z rąk wojownika Płaskogłowych, a kiedy indziej znowu napotkał samotnego wojownika Wron i zabrał mu tylko fajkę, samego puszczając wolno. Taki przejaw litości był prawie nieznanym wśród Czarnych Stóp.

Te i inne wyczyny dokonane podczas jego dziewiętnastu bitew dały Stopie Wrony godną pozazdroszczenia sławę wojownika. Wszystkie te walki rozegrały się w czasach jego młodości, w latach czterdziestych XIX wieku, gdy Czarne Stopy posiadali wiele koni i kontrolowali prawie całą południową Albertę i północną Montanę, prowadząc prawie nieprzerwaną wojnę z każdym plemieniem, które mogło zagrażać ich posiadłości.

Na północy byli Kri, na wschodzie Assiniboinowie, na południu Wrony, a za górami Kutenaiowie, Szoszoni, Nez Perce, Płaskogłowi i Kalispel. Sporadycznie walczyli też z Siuksami, Odzibwejami i przeróżnymi Metysami, którzy dołączali do łowców bizonów.

Czarne Stopy znajdowali się w strategicznym położeniu, gdyż mogli kupować broń od

brytyjskich i amerykańskich handlarzy, utrzymując liczne stada koni na swej posiadłości. Plemiona z północy i wschodu często były dobrze uzbrojone, ale brakowało im koni. Z kolei większość tych z południa i zachodu nie miało łatwego dostępu do cennych towarów, potrzebnych do prowadzenia wojny. Tak więc Czarne Stopy byli bezpieczni na swej ziemi, choć zewsząd otaczali ich wrogowie. Nawet biały człowiek nie był w stanie zakwestionować ich panowania nad rozległą równiną.(...)

Siuksowie, których rozległe tereny łowieckie rozciągały się w obu dzisiejszych Dakotach, zawsze byli wrogami Czarnych Stóp. Nie spotykali się często, ale za każdym razem dochodziło do strzelaniny i wznoszenia okrzyków wojennych.

Traktat z fortu Laramie z 1868 roku dał Siuksom prawo do polowania na olbrzymim terenie obu Dakot, na północ od Północnej Platte i na wschód od Gór Wielkorożca (Bighorn Mountains). Żadnemu białemu nie wolno było handlować i podróżować na tym terenie, dopóki plemiona tam polowały. Jednak w 1874 roku, kiedy odkryto tam złoto, setki poszukiwaczy zignorowało traktat i wtargnęło na teren Czarnych Gór. Siuksowie apelowali do rządu o przestrzeganie porozumienia, ale zamiast tego, wysłano żołnierzy do ochrony górników. Mnożyły się nieuniknione ataki na poszukiwaczy złota i armia przygotowała plan wielkiej kampanii na wiosnę.

Aby zgromadzić wielką siłę na spotkanie z żołnierzami, wódz Siuksów Siedzący Byk (Sitting Bull) wysłał zwiadowców do wszystkich obozów Siuksów i Szejenów. Powiedział im, że jeśli zjednoczą się w tej wspólnej sprawie, zniszczą Długie Noże na swym terytorium. Gdy wezwanie do walki obiegło wszystkie wioski Siuksów, zwiadowcy ruszyli na inne tereny, zarówno do przyjaciół, jak i wrogów, nakłaniając ich do wzięcia udziału w nadchodzącej wojnie. Na północy zwiadowcy dotarli do Pieganów, Kainów i obozu Stopy Wrony.

Pod koniec maja posłaniec zjawił się u Stopy Wrony i podarował mu tytoń. Powiedział, że przychodzi od Siedzącego Byka, wielkiego wodza Hunkpapów, i przynosi tytoń na znak pokoju i jako zaproszenie do przekroczenia granicy Stanów Zjednoczonych w celu przyłączenia się do Siuksów w ich walce z Amerykanami. Obiecał Czarnym Stopom wiele koni i mułów zdobytych na Amerykanach i białe kobiety jako branki. Posłaniec powiedział też, że

gdy Amerykanie i Wrony zostaną pokonani, Siuksowie przyjdą do Kanady z Czarnymi Stopami i tam też zlikwidują białych.

– Żołnierze w czerwonych kurtkach są słabi – powiedział – zniszczenie ich fortów nie zajmie nam dużo czasu.

Stopa Wrony stanowczo odrzucił pomysł przystąpienia do wojny, zarówno z amerykańskimi żołnierzami, jak i Konną Policją, ale zanim odpowiedział kurierowi Siuksów, wysłał swych zwiadowców do obozów Kainów i Pieganów, aby poznać ich nastroje. Gdy upewnił się, że ich nienawiść do Siuksów ciągle była żywa, wysłał swego zwiadowcę do Siedzącego Byka i przekazał mu, że jego ludzie nie przyłączą się do krucjaty Siuksów. Gdy posłaniec wrócił kilka tygodni później, powiedział, że Siuksowie zgromadzili wielką siłę i wkrótce zaatakują żołnierzy. Zapewnili też posłańca, że gdy pokonają żołnierzy, to przyjdą do Kanady i nie tylko wybiją Policję Konną, ale i zetrą Czarne Stopy z powierzchni ziemi za odmowę przyłączenia się do nich.

Posłaniec wrócił z tą niepokojącą wieścią w tym samym czasie, kiedy z fortu Calgary przyjechał inspektor Policji Konnej, Cecil Denny. Stopa Wrony zaprosił policjanta do swego tipi i wyjaśnił mu całą sytuację. Wiedział, że Siuksowie byli wielkim narodem i spytał, czy może liczyć na Policję, gdyby Czarne Stopy zostali zaatakowani. Denny odparł, że Czarne Stopy są poddanymi królowej i zawsze mogą oczekiwać ochrony ze strony Policji. Stopa Wrony był zadowolony z tej wiadomości i zapewnił, że jego ludzie także pomogą białym. Wyśle dwa tysiące wojowników, jeśli Siuksowie zaatakują Policję.

Po złożeniu tej wspałałomyślnej oferty, Stopa Wrony po raz pierwszy czuł, że ma jakieś pojęcie o niewesołej przyszłości, jaka czeka jego ludzi. Wielka inteligencja pozwoliła mu na ocenę wydarzeń, jakie rozgrywały się wokół niego i nabrania pewności, że nowe życie będzie ciężkie. W 1876 roku prawdopodobnie żaden Indianin i niewielu białych ludzi w kraju Czarnych Stóp widziało sytuację tak jasno jak Stopa Wrony. □

Tłumaczenie

Marek Maciołek i Wiesław K. Niedźwiadek

Fragment książki Hugh A. Dempsey *Crowfoot. Wódz Czarnych Stóp*, jaka wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa „Akcydens” i „Tipi”.





American Indian Traditional Clothing & Craft Show – Browning (Montana), 9 maja 1996

Powyżej: Shawn Michael Perry, Jeri Brunoe i Źródłko (Bartek Stranz)

Poniżej: Garry Pretty (Crow), Źródłko i Willie Goat Running Crane (Pikuni)



XX Zlot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian – Chodzież, 2-7 sierpnia 1996





O Polskich Przyjaciółach Indian pisano już wiele razy i w różny sposób. Nazywa się nas często Indianami, choć tak naprawdę to przecież wcale nimi nie jesteśmy, a nawet się nimi nie czujemy, choć nie mogę ręczyć za wszystkich. Zresztą to tak, jakby ornitologa nazywać Ptakiem.

Wiesław K. Niedźwiadek

Nie jesteśmy Indianami, ale...

Gdyby zapytać nas dlaczego interesujemy się kulturą Indian, to myślę, że każdy z nas miałby inną odpowiedź. Czasami odpowiadam banalnie, że przecież prawie każdy bawił się kiedyś w Indian; jedni z tego wyrosli, a inni nie. Dzisiaj jednak to już nie jest zabawa, to cały rok ciężkiej pracy: studiowanie literatury obcojęzycznej, tłumaczenie, organizowanie koncertów, wystaw, prelekcji o Indianach, indiańskich obozów, biegów i manifestacji, a więc czynne popieranie współczesnych Indian w walce o ich prawa, redagowanie czasopism poświęconych Indianom, czy w końcu organizowanie corocznych spotkań dla wszystkich zainteresowanych kulturą Indian. I właśnie o takich spotkaniach chciałbym coś napisać. Nazywa się to zlot, a dokładniej: Ogólnopolski Zlot Przyjaciół Indian.

No i co się tam dzieje? Jak tam jest? Hm. Wspaniale. Przede wszystkim się wypoczywa. Przyjeżdżają ludzie młodzi i starzy. Coraz częściej z całymi rodzinami, a nawet psami. Rano, poza tymi, którzy nie spali w ogóle, śpią wszyscy. Panuje stara, indiańska zasada: wstanę, jak się obudzę. A budzą się dość szybko, w końcu nie przyjechało się tu spać.

Kiedy więc koło południa większość uczestników jest już na nogach, zaczynają się prace domowe. Tak, domowe, bo mieszka się właściwie w domu. Indiański namiot znany jako tipi jest jak dom, ciepły, suchy i bezpieczny, mimo palącego się w środku ogniska, które daje ciepło i światło. Choć zamieszkują go przeważnie trzy lub cztery osoby, wmieścić się do

niego może nawet kilkanaście osób. Takich tipi stoi średnio kilkadziesiąt. Wszystkie w kręgu, niektóre pięknie pomalowane. W czasie posiłku następuje ogólna wymiana gości, odwiedzanie starych przyjaciół i poznanie nowych.

Czasami ktoś niechcący rzuci:

– Pogramy?

I wtedy zaczyna się szaleństwo. Stara indiańska gra *siyo*, gdzie każdy gra właściwie na swój rachunek, jest grą typu „obrzecz i kij”. Obzcz podrzuca się do góry i komu spadnie na kij ma 5 punktów, a kto złapie na ziemi ma 1 punkt. Wspaniała zabawa, gdy gra toczy się w obozie, a obzcz „niechcący” wpada do tipi. Wtedy tabun rozpedzonych ludzi wpada do twego domu i wymachując kijami wrzeszczy „Siyo! Siyo!” Są jeszcze „bizonie jądra”, gra zespołowa, bardzo niebezpieczna. Dużo zabawy, jeśli obserwuje się ją z boku. Niektórzy wolą gry spokojniejsze, np. „patyczki”, indiańska odmiana pokera. Potem oczywiście wspólna kąpiel w pobliskim jeziorze lub rzece, która poza korzyściami praktycznymi daje również wspaniałą rozrywkę.

I tak właściwie aż do zachodu słońca, wtedy w obozie następuje zmiana nastroju. Do noszonych przez cały dzień pięknie zdobionych koralikami mokasynów i przepasek biodrowych, dołączają piękne skórzane koszule z długimi frędzlami i szerokimi pasami koralików na rękawach oraz legginy, bogato zdobione końskim włosiem, frędzlami i koralikami. Mnóstwo naszyjników, naramienników i pancerzyków. Włosy układa się na nowo w różne



indiańskie fryzury, przymocowując do nich różne ozdoby z piór, m.in. wspinałe pióropusze. W czasie tych przygotowań słychać już indiański bęben rozgrzewający się przy wieczornym ognisku. Gotowi podchodzą do ogniska na środku obozu, gdzie właśnie zaczyna się ulubiony punkt programu większości uczestników. Gdy kilku bębniarzy rozegra się już na dobre, zaczyna się śpiew, a w chwilę potem taniec. Powoli ludzie dołączają do tańczącego kręgu, pokrzykując od czasu do czasu. Głos bębna dociera wtedy daleko, daleko poza obóz. Brzmi niesamowicie z odległości nawet kilku kilometrów. Odpowiedni czas na rozmyślania. odpowiedni czas na spacer po lesie. Odpowiedni czas dla zakochanych. Noc, gwiazdy, indiańska muzyka.

Grubo po północy krąg tancerzy zaczyna topnieć. W obozie rozpalają się najwspanialsze na świecie lampiony. Jedne za drugim jaśnieją, by po chwili ściemnieć, czasami zamrugać i w końcu – zgasnąć. To ci zmęczeni tańcem i śpiewem rozpalają ogniska w swoich tipi, po czym układają się do snu. Często towarzyszy im jakiś pojedynczy głos bębna, który po jakimś czasie również zamilknie. Gdy gasną ogniska ostatnich tancerzy, palą się jeszcze te, przy których toczą się nocne rozmowy. Tych na pewno zastanie świt, a jeśli nie wytrzymają, pozasypiają na tych miejscach, gdzie siedzą i wstaną dopiero wtedy, kiedy się obudzą.

Ale się rozmarzyłem... □

Wiesław K. Niedźwiadek

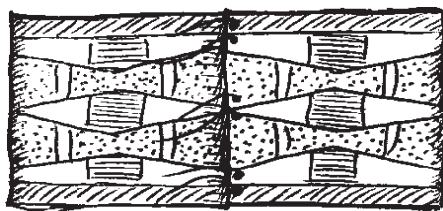
ZRÓB TO SAM

Torby z surowej skóry

Torbę taką stanowi prostokątny kawałek surowej skóry, odpowiednio złożony. Jest to po prostu „indiańska teczka” używana przez Indian z Równin i Gór Skalistych. Nazywana przeważnie *parfleche* (czyt. 'parflesz'), słowem z języka francuskiego, stosowanego do określenia wszelkich wyrobów z surowej skóry, takich jak tarcze, torby, wiadra, kubki, czepaki, warząchwie, a nawet moździerz do ucięcia mięsa i owoców.

Wśród plemion Indian Równin parflesze używano do przechowywania i przenoszenia dodatkowych zapasów mięsa i ubrań. Wojownik udający się na wyprawę wojenną, wkładał do niego kompletne wyposażenie: koszulę wojenną, legginy, naszyjniki, mokasyny, a nawet pióropusz wojenny. Po ułożeniu tego wszystkiego do środka, składał go i zawiązywał. Kiedy podróżowano, parflesze przywiązywano po obu stronach siodła.

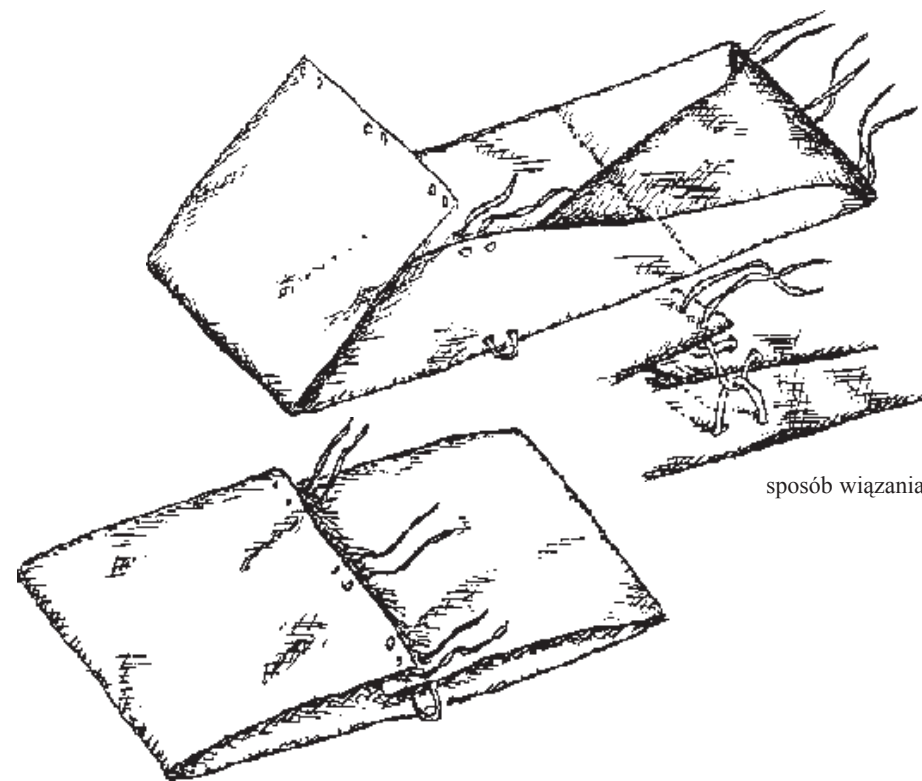
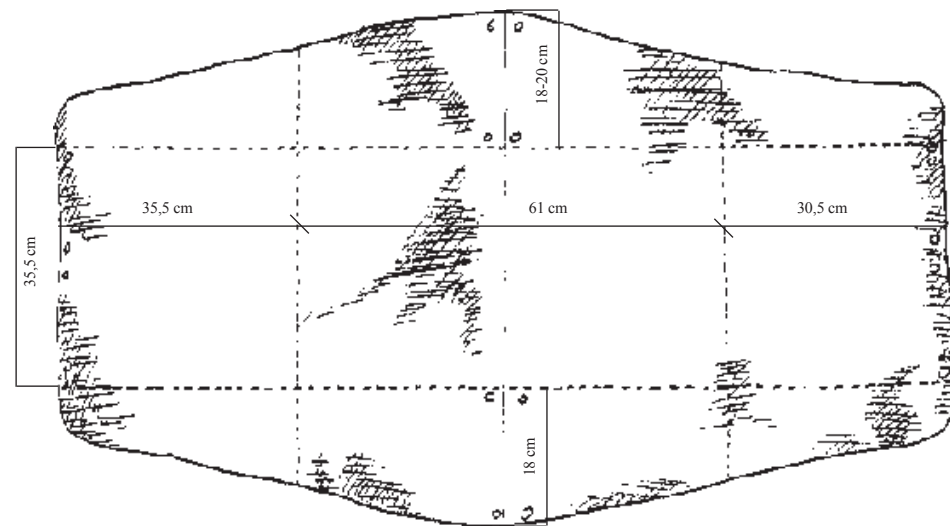
Parflesz to prostokątny, mierzący około 60 na 90 cm kawałek surowej bizoniej skóry, z usuniętym wcześniej włosiem. Obecnie uży-



wa się w tym celu brezentu pomalowanego na kolor skóry.

Podobnie jak wiele innych przedmiotów używanych przez Indian w dawnych czasach, parflesze były bogato dekorowane w geometryczne wzory. Surowa skóra miała kolor jasnokremowy, kiedy była nowa, lecz z czasem ciemniała. Dzisiaj maluje się je emalią lub inną zwykłą farbą, którą akurat mamy w domu. Najczęściej używa się kolory: czerwony, czarny, żółty i zielony, rzadziej natomiast niebieski i brązowy. Malowano je przeważnie od strony wiązań, rzadko od spodu czy wewnątrz. □

Oprac. Niedźwiedź



sposób wiązania

redaguje Jacek Piwowski

Indiańska msza w Browning

Biskup Alex J. Brunett zapewnił tubylczych Amerykanów o swym zaangażowaniu i zobowiązał się „podnosić waszego ducha i zawsze pomagać wam odkrywać moc Bożej miłości” – podczas uroczystości Indiańskich Dni w Browning.

Słowa te wypowiedział 9 lipca podczas odprawiania mszy polowej, w trakcie której uhonorowano go imieniem Czarnych Stóp, Święte Pióro Orła (Holy Eagle Feather).

Coroczne *pow-wow*, święto indiańskiej kultury i tradycji, które jest największym takim zgromadzeniem na kontynencie, ma miejsce każdego lata w rezerwacie Czarnych Stóp, w drugim tygodniu lipca. Przez całe lato odbywają się podobne imprezy w kilku innych rezerwach w Montanie.

Wierni zebrali się pod gorącym słońcem w samo południe, na placu do tańczenia w obozie, tuż za Muzeum Indian Równin. Liturgia została wzbogacona o dźwięki i kolory indiańskich bębnow, tańców, pieśni i rozdawanie prezentów.

Ojciec Ed Kohler, proboszcz parafii Little Flower w Browning oraz diakoni Melvin Rutherford i Robert Bremner asystowali przy ołtarzu podczas mszy. Wierni w pióropuszech i tradycyjnych strojach prowadzili otwarcie procesji, podczas której palono warkocze słodkiej trawy jako kadzidło.

Ubrany w ornat z białej sarniej skóry, obszytej koralikami, bp Brunett otrzymał trzy prezenty od Czarnych Stóp z parafii Browning. Dostał imię Czarnych Stóp razem z orlim piórem, a także białą mitrę z jaskrawoczerwonym wzorem z koralików.

Gertie Heavy Runner i Al Potts, władający biegle zarówno językiem Czarnych Stóp, jak i angielskim, zaprezentowali czytania, a następnie bp Brunett wygłosił ho-

milię do zebranych, mówiąc o potrzebie entuzjazmu w życiu chrześcijańskim. Temat orla posłużył mu za duchowy symbol. Polecił swoim słuchaczom, by pamiętali o konieczności „podniesienia naszego ducha jak orzeł szybujący na niebie” i entuzjazmu w wnoszeniu chrześcijańskiej miłości do tych w społeczności, którzy „szukają kogoś, kto da nadzieję i opiekę”. Podkreślał, że entuzjazm musi mieć kierunek i cel.

– Ludzie szukają drogi do znajdowania wielkości Boga – powiedział. – My jesteśmy tymi, którzy głoszą to swym życiem.

Więzi wspólnoty „są wzbogacane przez tradycję, ale także przez wiarę. Musimy skupić się na ważnych sprawach: jak nasze rodziny mają przetrwać w społeczeństwie, jak nasza wiara ma wzrastać – mówił bp Brunett. – Stąd, wzbogaceni i umocnieni przez uroczystość eucharystii, możemy wprowadzić jakieś zmiany.

Biskup wyraził także podziękowanie za imię Czarnych Stóp. – Orzeł jest wielkim znakiem od Boga. On unosi nas do góry – powiedział. – Ja się zobowiązałem wobec was wszystkich – podnosić waszego ducha i zawsze pomagać wam odkrywać moc Bożej miłości.

Karen Wills
„The Montana Catholic”
lipiec 1995

tłumaczył MOKASYN

Na terenie tutejszego rezerwatu są dwie katolickie msze w roku (tzn. te dla otwartej publiczności). Jedna odbywa się podczas Indiańskich Dni w Browning, a druga w pierwszą sobotę po Wielkanocy. Tę celebrował bp Brunett. Ołtarz tym razem, zamiast obrusa, nakryty jest chustą z frędzlami, taką jak do tańca fantazyjnego kobiet (*Fancy Dance*). Przy ołtarzu ulokowany jest bęben z czterema śpiewakami.

Oczywiście msza się zaczęła o „Indian time”, czyli z opóźnieniem. Naraz bęben ożywa razem ze strunami głosowymi śpiewaków. Procesja wychodzi z prawej strony, następnie idzie z tyłu i przechodzi do lewej, ładując naprzeciwko ołtarza. Bęben gra donośnie i głośno. Procesję stanowią osoby czynnie uczestniczące we mszy (w Browning nie ma ministrantów) ubrane w stroje *pow-wow* oraz pióropusze. Jest także trzech tancerzy tańca trawy (*Grass Dance*). Ich dzwonki przymocowane przy stopach dopełniają dźwięku muzyki.

Nabożeństwo prowadzi trzech księży (jeden jest Indianinem) w języku angielskim (ze względu na znikomą znajomość języka Blackfeet).

Bęben ze śpiewakami jest obecny w tych samych momentach, jak podczas regularnej mszy, kiedy gra gitara lub organy. Język indiański pojawia się w modlitwie wstawieństwa (modli się jeden ze śpiewaków). „Prysznic słów” jest mi znany, jako że zaczerpnięty z szalasu potu. Także „Ojciec nasz” jest po indiańsku.

Przed komunią, indiański ksiądz zapala szalawę i okadza siebie, przedmioty na ołtarzu, dalej śpiewaków i bęben, księży oraz wielki krzyż za ołtarzem. Przy przyjmowaniu komunii zauważyłem, że ubrania ojców są pięknie zdobione koralikami, a jeden miał z tyłu do-czepione orle pióro. Uchwyt kielicha wyszyty był koralikowym ścięciem pejotlowym. Kwaśny zapach szalawii przemykał między nami.

Msza dobiegła końca. Procesja tym razem idzie środkiem. Tancerze tańczą, inni idą wolno w rytm bębna. Pierwsza osoba trzyma Pismo św. w dłoniach wyciągniętych przed siebie do góry.

Taka msza cieszy się „powodzeniem”. Wnioskuje to po ławkach pełnych wiernych, podczas gdy tydzień później zajęta już była tylko połowa.

*By wilk był cały i owca syta
– to moja modlitwa prośbami pokryta.*

9 maja 1996



Running Crane Originals oślniło tłum na pokazie sztuki

Wiele osób uczestniczyło w dźwiękowej i wizualnej uczcie mody i pieśni podczas pokazu American Indian Traditional Clothing & Craft Show, jaki odbył się 9 maja br. w Centrum CCD w Browning.

Tradycyjne stroje zaprojektowane i uszyte przez Rayolę Running Crane z wdziękiem były prezentowane przez modeli we wszystkich przedziałach wiekowych, zaczynając od starca tutejszej rady plemiennej, Ala Potts'a w gustownym płaszczu z koca Kompanii Zatok Hudsona.

Muzyka bębnow Spotted Eagle'a i Night Eagle'a towarzyszyła pokazowi sukien dzwonkowych (*jingle dress*), strojów do tańca fantazyjnego, a także tradycyjnych strojów mężczyzn i kobiet. Zaprezentowano także ubiory współczesne z kolekcji Running Crane, w której pokazano sposób zastosowania motywów Czarnych Stóp na ubraniach codziennego użytku.

Konferansjerkę prowadziła Jeri Brunoe, instruktorka szkoły liderów z Scottsdale w Arizonie. Jest ona członkinią Skonfederowanych Plemion z Warm Springs w Oregonie i jej mowa o poczuciu własnej godności i potrzebie większej samodzielności dla Indian, została entuzjastycznie przyjęta przez starszą młodzież, licznie zgromadzoną na widowni.

Przy całym szacunku do obu bębniistów zaprezentowano także muzykę współczesną w wykonaniu pieśniarza i aktora, Shawna Michaela Perry z rezerwatu Flathead. Był on nie tylko znaną postacią, mającą na koncie wiele ról filmowych i telewizyjnych.

Impreza ta jest już drugim pokazem zorganizowanym przez Running Crane na terenie rezerwatu Czarnych Stóp. Pokazy utrzymane są na najwyższym poziomie, z udziałem indiańskich talentów zarówno lokalnych, jak i znanych w całym kraju.

Historia tworzenia się stylu Rayoli i jej dzieł jest bardzo interesująca. Dziś jest projektantką oryginalnych, noszonych powszechnie strojów. Wcześniej pracowała

także jako doradca kostiumowy tubylczych strojów dla kilku głównych wytwórni filmowych. Dla projektantki Rayoli Running Crane było to niepowtarzalną okazją do radości dzięki olbrzymiemu zróżnicowaniu i pomysłowości w zakresie kolorów i wzornictwa. Wrodzone zdolności artystyczne pani Rayoli wyrażają się w żywych motywach, odzwierciedlających wzory i styl Wielkich Równin.

„Glacier Reporter”
maj 1996

tłumaczył MOKASYN

Pisząc o tym, co przeżyłem kilka dni temu, chciałbym podziękować Jackowi za tłumaczenie tego artykułu z „Glacier Reporter”.

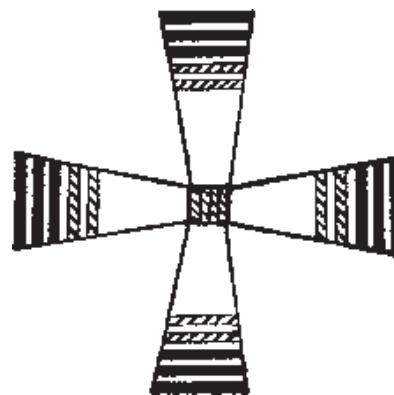
Mija ponad rok, odkąd mieszkam w rezerwacie Czarnych Stóp w Montanie (pośród rodziny Running Crane) i większość imprez czy ceremonii staje się dla mnie chlebem powszednim. Owa rewia mody była jednak czymś niezwykłym, zachwycającym nie tylko widownię Browning, ale także i mnie oraz gwiazdy Hollywood & kompanie odzieżowe.

Wiele kreacji było dla mnie szokiem – *new age!* Czego się dziwić – wkraczamy w 2000 rok i wszystko wokół nas się zmienia, nie mijając indiańskich strojów, ubiorów trzymających się tradycji PIKUNI.

Podczas trwania *show* miałem okazję poznać (zob. fotografie na rozkładówce) Jeri Brunoe i Shawna Michaela Perry, który występował w wielu filmach o tematyce indiańskiej, m.in. *Ostatni Mohikanin*, *My Indian Summer* itd. Z ciekawością słuchałem opowieści o tym, co się dzieje wśród Indian na planie filmowym. Byli zachwyceni „Tawacinem” oraz moimi relacjami odnośnie miłośników Indian w Polsce.

Nawiązałem z nimi kontakt, są zainteresowani przyjazdem do Europy. Mają do przedstawienia bardzo bogaty program artystyczno-kulturalny dla różnych grup wiekowych. Szczególnie Shawn Michael Perry, który jest liderem zespołu rockowego ONLY THE BRAVE (w stylu Bon Jovi, czy Boba Dylana). Wydaje mi się, iż warto coś zrobić z ich propozycją przyjazdu do Polski – Europy.

•ródło
Browning, Montana



Indiański sklep w Browning

Tak się właśnie składa, że w tymże miesiącu br. minęły trzy lata od czasu jak podjąłem pracę w tutejszym supermarkecie. Jest to jedyny w rezerwacie sklep wielkich rozmiarów, jaki gości przybyszów podróżujących z i ku Kanadzie oraz karmiący tutejszych tubylców. IGA (Independent Grocery Association) posiada sieć sklepów w Ameryce, Japonii, ostatnio też w Azji oraz proponuje się w Czechach. Jednak ten sklep zasługuje na uwagę, bo on jest „indiański”. Z terminem tym spotkałem się dużo wcześniej, słysząc to od wielu osób.

Do napisania poniższych słów skłonił mnie swędzący język + kumpel-Indianin, także długoletni (jak na rezerwat) pracownik. Są to nasze obserwacje, których – mówiąc szczerze – nigdzie indziej nie zaobserwowaliśmy.

Sklep spożywczy, gdzie na jednej ze ścian wywieszono dwie głowy jeleni oraz dwie głowy łosi. Monumentalnych rozmiarów rogacze często służą jako „dekoracja”. Raz ktoś włożył łosiowi niedopalonego papierosa, a na jego głowę przywdziano czapkę baseballową.

Supersam „Buttrey” jest położony kilka jardów poza rezerwatem w Cut Bank. Jeśli kasjer idzie na przerwę lub do domu – zakłada tzw. łańcuszek, który informuje, że kasa owa nie ma pracownika. Na łańcuszkach często widnieje napis *CLOSED*. W Browning nie ma łańcuszków, w konsekwencji są najazdy nieletnich osób, które igrają z telefonem lub *in-*

tercome, tudzież są kradzieże papierosów i tytoniu do żucia.

County Market w Great Falls przy wejściu na szybie wywiesił napis: *Shirts & shoes required*. Czy kogoś to dziwi? Mnie dziwi brak obuwia u klientów w Browning, zarówno u dorosłych, jak i dzieci. Owszem – skarpety są na stopach, a przecież podłoga zawiera brud wszelkiego rodzaju (obornik – bo to wieś, zbite szkło, rozlana pepsi, jajka itd.). Te same osoby robiące zakupy w Cut Bank już wędrują obucone.

Ubikacje w IGA są do użytku publicznego, jednak dla wielu osób nie służą one li tylko do potrzeb fizjologicznych. Jest to miejsce ściągające lokalnych „artystów”. Białe ściany toalet i drzwi są tematem do rycin i hasel skrajnie sprośnych oraz *grafitti* gangu Browning. Czarny mazak (*permanent marker*) można tylko „zmyć” papierem ściernym.

Żeńska, jak i męska ubikacja ma wymiary 1 x 2 m. Tak małe pomieszczenie wystarcza by tam zmieścić np. 8 dziewcząt w jednym przedziale żeńskim. Grupa w owej liczbie nastolatek (13 lat) wbiega na zaplecze sklepu (gdzie są ubikacje), następnie wzajemnie się popychając – czeredą lokuje zwłoki w żeńskiej toalecie. Dobiega stamtąd hałas, łoskot i śmiech. Ten *fun* trwa góra 2 minuty, a dalej jest zbiorowy wypad z rykiem ku niebiosom. Czy ktoś coś takiego uświadczył? *Utility room* dzieli tylko jedna cienka ściana od toalety żeńskiej, stąd piszę o tym, bo wymieniam tam wodę i pracuję.

Inną cechą, nigdzie indziej nie zaobserwowaną, jest dzwonienie osoby cywilnej (nie-pracownika) do innej osoby cywilnej. Kasjerka odbiera telefon do osoby, która w tym czasie robi zakupy w sklepie. To chyba indiańska telepatia. Ktoś dzwoni do kogoś poprzez sklep. W rzeczywistości wołana osoba nigdy się nie zgłasza, bo w IGA nie robi się zakupów godzinami i pewnie już wyszła lub nie dotarła w czas telefonu. Tak działa indiańska telepatia w indiańskim sklepie w Browning.

3 marca 1996

MOKASYN JACK
Browning, Montana
Blackfeet Indian Reservation



Bieg Wolności 1996

dla Leonarda Peltiera i Ludów Tubylczych

Z każdej imprezy można napisać całkiem nudne sprawozdanie. Nawet z tak ważnej, pełnej emocji, wydarzeń i doświadczeń, jak ten Bieg. Nie wierzycie – to przeczytajcie. I spróbujcie wyobrazić sobie to wszystko, czego nie oddadzą poniższe suche fakty.

Niektórzy przyjechali już w połowie czerwca, na Tubylczą Konferencję pod auspicjami UNESCO w Paryżu, by potem, w drodze przez kraje Europy Zachodniej, spotykać się ze zwykłymi ludźmi i tymi, którzy mogą więcej – radnymi i parlamentarzystami. Inni pod koniec czerwca zajrzeli choć na chwilę na Andyjską Fiestę w Ząbkowicach Śl., by miłośnikom muzyki andyjskiej (i ludowej w ogóle) spróbować przekazać o współczesnych Indianach coś więcej.

Wszyscy – czyli 50 uczestników Biegu Wolności 1996 i poprzedzającej go Europejskiej Karawany Delegatów Tubylczych – okadzili się dymem szalwii i uściśnieli sobie dłonie 30 czerwca w kręgu na Górze Świętej Anny. A rankiem następnego dnia, po okolicznościowych przemówieniach, wywiadach i zasadzeniu Drzewka Pokoju, ruszyli z gościnnymi Zdieszowic w drogę do dalekiej Genewy.

Biegli Francuzi, Niemcy i Słowacy (po drodze dołączyli też biegacze z Austrii, Czech,

Szwajcarii, a nawet jedna Japonka) – członkowie rozmaitych grup poparcia Indian. Biegło dwadzieścioro Polaków z całego kraju, młodych indianistów o różnej wiedzy i zainteresowaniach – wszyscy sprawdzili się jako biegacze, delegaci i przyjaciele (blisko połowa na całej trasie). Towarzyszyli im, czasem też biegając, tubylczy delegaci z Ameryki – Wyspy Żółtwa.

Na zaproszenie Berndta Damischa, europejskiego koordynatora Biegu Wolności, przybyło ostatecznie czterech. Jay Mason, Mohawk o mocnym głosie, postawny budowniczy drapacz chmur z Toronto, przedstawiający się swoim irokeskim imieniem – *Tonondahare* (Wysoka Biała Sosna Stojąca Na Wzgórzu Z Korzeniami Wrośniętymi Głęboko W Ziemię). Jose Morales, delegat narodu Majów z rozdartej wojną domową Gwatemali, zakładający we Francji fundację na rzecz indiańskich sierot. Ammon Russell, Dine (Nawaho) z dewastowanego przez górnice koncerny Big Mountain w Arizonie, delegat Komitetu Peltiera, uczestnik wielu Biegów (m.in. w 1990 roku w Polsce i wiosną 1996 roku w USA). I Daniel Zapata, Chicano/Chichimeca z Kalifornii, indiański ekolog, świetny mówca, dumny ze swego kulturowego dziedzictwa potomek Azteków.

Sztafeta Biegaczy pokonała ponad 2500 km, z tego 350 w Polsce. W siedmiu krajach (Polsce, Słowacji, Austrii, Czechach, Niemczech, Francji, Szwajcarii) i kilkudziesięciu miastach Europy tubylczy delegaci i Europejczycy uczestnicy Biegu opowiadali o łączącej ich idei, o sytuacji ludów tubylczych z różnych rejonów Ameryki i o sprawie Leonarda Peltiera. Z większości swoich spotkań z lokalnymi władzami wychodzili z rezolucjami popierającymi cele Biegu, w tym przede wszystkim – starania o prezydencki akt łaski dla Leonarda. W naszym kraju takie ważne i symboliczne zarazem dokumenty uzyskali od władz Zdieszowic, Jastrzębia Zdroju, Oświęcimia, Suchoj Beskidzkiej i Makowa Podchalańskiego.

A potem znowu – biegli (czasami długo, w deszczu i pod górę), demonstrowali (w kilku stolicach), zwiedzali (coż za wspaniałe widoki!), spali (różnie – w szkołach, schroniskach, tipi, buddyjskiej świątyni i przeciwbombowym bunkrze...), jedli (czasem nie za wiele), i znow spo-

tykali się, by – pomimo różnych przeciwności – wziąć *staff* i pójść z nim dalej...

Po czterech tygodniach od pierwszego kręgu w Zdieszowicach symbolizujący Bieg Wolności, a pamiętający także Bieg Przyjaźni Narodów '94, biegowy *staff* dotarł do Genewy. Zgodnie z planem – na kilka dni przed rozpoczęciem obrad Grupy Roboczej do Spraw Ludności Tubylczej (WGIP) przy Komisji Praw Człowieka ONZ. Zebrane na trasie rezolucje przekazano odpowiedzialnemu za przygotowania do obrad (w tym za modlitewne czuwanie przed główną siedzibą ONZ) Frankowi Drea-verowi z Komitetu Obrony Leonarda Peltiera. Jeszcze ten ostatni, pożegnalny Krąg i – głów-

ne cele Biegu Wolności 1996 zostały zrealizowane...

Niestety, najwyższą cenę za swoje zaangażowanie na rzecz idei sprawiedliwości, wolności i pokoju zapłacił jeden z nas – Sebastian Herman. Zginął w drodze powrotnej do domu, w wypadku biegowego mikrobusu koło Wiednia. Pożegnaliśmy Go licznie 1 sierpnia br. w Siechnicach koło Wrocławia.

Każdy, kto biegł, lub pomógł Biegowi, zasługuje na szacunek i wdzięczność. Dziękuję Wam,

Marek NowoCIEŃ, (PSPI)

Koordynator Biegu Wolności '96 na Polskę



Leonard Peltier Defense Committee
P.O. Box 583, Lawrence, KS 66044
(913) 842-5774 Fax (913) 842-5796
E-Mail: tpdcd@dir.net
Homepage: <http://www.unicon.net/peltier/index.html>



Oświadczenie Leonarda Peltiera ku Pamięci Sebastiana Hermana z dnia 30 lipca 1996 roku

Z ciężkim sercem piszę dzisiaj te słowa. Otrzymałem wiadomość o tragicznej śmierci wspaniałego i oddanego młodego człowieka, Sebastiana Hermana. Nie znałem Sebastiana. Nigdy nie spotkaliśmy się, ani nie rozmawialiśmy przez telefon. Ale choć nie znaliśmy się, to Jego duch był wystarczająco silny i mężny, by poprowadzić go do walki o sprawiedliwość. Jestem głęboko poruszony, że tak zależało mu na mnie i na ludach tubylczych. Jego poświęcenie będzie trwało w moim sercu przez resztę mojego życia.

Pragnę przekazać wyrazy sympatii Jego rodzinie i przyjaciółom. Pragnę wyrazić Wam moją niezachwianą wdzięczność, przyjaźń i miłość. Bieg Wolności i Modlitewne Czuwanie ponownie zwróciły uwagę na mój los tak wielu ludzi, którzy wiedzą tak niewiele o „systemie sprawiedliwości”, ubóstwie i prze-

śladowaniach, na które narażeni są Indianie w Stanach Zjednoczonych. Sebastian był ważną częścią tego. Będzie pamiętany zawsze jako człowiek sumienia.

Kiedy będę się modlić codziennie i uczestniczyć co tydzień w ceremoniach szalasu potu, będę prosić Stwórcę, by trzymał Sebastiana w swojej dłoni i będę prosić Stwórcę, by złagodził żal tych, których pozostawił, a szczególnie Matki, która okazała tak niezwykle hart ducha. Rodzina Hermanów powinna być przykładem i inspiracją dla nas wszystkich. Oddaję im swoją miłość, szacunek, uznanie, wsparcie i sympatię.

W Duchu Szalonego Konia

Leonard Peltier

Z ZIEMI INDIAN

serwis informacyjny

Wioska Indian Kri trafiła na listę ONZ najlepszych wspólnot świata

Oujé-Bougoumou, wioska z północnego Quebecu, zaprojektowana w sposób przyjazny dla otoczenia, została wybrana jako jedna z 50 wspólnot świata najlepiej odzwierciedlających „wzór Narodów Zjednoczonych”.

„Przyjaciele Narodów Zjednoczonych” – społeczna organizacja współpracująca z ONZ wytypowała tę wioskę do Nagrody Pięćdziesięciu Wspólnot, ustanowionej z okazji 50-lecia ONZ [w 1995 roku].

Ogłaszając swój werdykt, organizacja stwierdziła, że Oujé-Bougoumou „z powodzeniem łączy tradycyjne wartości i kulturę Kri z postępem i nowoczesną technologią”, co znaczy, że projekt wspólnoty uwzględnia „ekonomiczną kondycję i wydajność, ochronę środowiska i harmonię”.

Oujé-Bougoumou, leżąca 600 km na północ od Montrealu, koło Chibougamou, liczy sześciuset mieszkańców. Zaprojektowana została przez Douglasa Cardinala, tubylczego architekta, który zaprojektował m.in. gmach Muzeum Cywilizacji w Hull (Quebeck).

– Jest to historia walki pewnej szczególnej wspólnoty oraz tego, jak należy stawiać czoła przeciwnościom – powiedział Abel Bosum, wódz Oujé-Bougoumou.

Po serii przymusowych przesiedleń z powodu działalności na tym terenie kopalń odkrywkowych, w połowie lat osiemdziesiątych wspólnota została podzielona. Jedni żyli w rudach, a inni w osiedlach białych ludzi; jedni i drudzy wyrwani ze swej kultury. W końcu wspólnota zebrała się razem, przedyskutowała szczegóły z władzami w Ottawie i Quebecu, po czym rozpoczęła budowę, która stała się modelem wioski tubylczych mieszkańców.

Bosum stwierdził, że sukces wspólnoty udawadnia, że tubylczy potrafią być samorządni.

– Dajcie nam narzędzia, a zobaczycie wy-

zwolenie ogromnej energii twórczej, prowadzącej do budowy zdrowej, samowystarczalnej wspólnoty – powiedział.

Oujé-Bougoumou była jedną z trzech kanadyjskich wspólnot (wszystkie tubylcze), wytypowanych przez Przyjaciół Narodów Zjednoczonych. Pozostałe dwie to: Walpole Island w Ontario i Sanikilua, wioska Inuitów na Terytoriach Północno-Zachodnich.

Oprac. Marek Cichomski

„The Gazette” (Montreal), czerwiec 1995, nadesłał Michael T. Benwell.

Hobbema: ropa, pieniądze i samobójstwa

Miasteczko Hobbema w Albercie położone jest w centrum czterech indiańskich rezerwatów, które od ponad wieku zamieszkują cztery grupy Kri: Samson, Ermineskin, Louis Bull i Montana. Ich liczebność wynosi sześć i pół tysiąca osób. Na pierwszy rzut oka nic nie sugeruje podróżnikom jadącym autostradą, że miasto to, oddalone około 80 km na południe od Edmonton, miało w latach 1980-87 największą liczbę samobójstw w całej Ameryce Północnej. Przejeżdżający przez miasto mogą być nieco zaskoczeni bogactwem, które wskazuje, że okoliczne rezerваты wybiegają daleko ponad przeciętną. Nie ma tutaj przepełnionych, walących się baraków, które spotyka się w większości rezerwatów na Równinach. Widać natomiast talerze anten satelitarnych umocowane na cedrowych dachach domów, wartych co najmniej sto tysięcy dolarów każdy, przed którymi stoją zaparkowane najnowsze modele samochodów. Jednym słowem dobrobyt. Dobrobyt, który przerodził się w koszmar.

Historia Pamela Soosay, nastoletniej Indianki Kri z Hobbemy, jest tylko małym fragmentem tego kosmaru. Jesienią 1986 roku powiesiła się na elektrycznym kablu. Jej nastoletni przyjaciel znalazł jej ciało wiszące na drzewie. Rok później włożył sobie pistolet do ust i pociągnął za spust. W tym samym roku zastrzeliła się brzemienią 17-latką. W szczytowym momencie samobójczej epidemii, tylko w cią-

gu jednego roku, zanotowano w mieście szesnaste samobójstw. W czym leży przyczyna tych tragedii?

Pod koniec lat czterdziestych w jeziorze Piageon, miejscu tradycyjnych połowów czterech grup, znaleziono złoża ropy naftowej. W 1950 roku rozpoczęła się działalność wydobywcza. Opłaty za prawo wydobycia ropy, które kompanie płaciły Indianom nie były wysokie aż do połowy lat siedemdziesiątych. Wówczas miasto Hobbema zostało wręcz zalane powodzią pieniędzy. Niemalże z dnia na dzień Indianie zostali bogaczami. Na początku lat osiemdziesiątych, w szczytowym okresie wydobycia ropy, cztery grupy otrzymywały 185 milionów dolarów rocznie. Niewiele jest społeczności w historii Kanady, które w tak krótkim czasie przebyły drogę od ubóstwa do bogactwa. Petrodolary zapoczątkowały epidemię problemów społecznych w Hobbemie. Wzrósł stopień alkoholizmu, pojawiła się kokaina, nastąpił rozkład życia rodzinnego, samobójstwa zaczęły rosnać w zastraszającym tempie, osiągając wśród młodocianych liczbę 83 razy wyższą od średniej krajowej! Każdego roku notowano trzysta prób samobójstw.

– Pieniądze za ropę ograbiły ich z szacunku do siebie i godności – powiedział jeden z pracowników socjalnych.

Kultura może zostać zniszczona równie skutecznie przez pieniądze jak przez choroby czy wojnę. Napływ pieniędzy do Hobbemy stanowił wtargnięcie obcego systemu wartości do kultury opartej na myślistwie i rybołówstwie.

– Kiedy nie mieliśmy pieniędzy, cieszyliśmy się szczęściem rodzinnym – wspomina Theresa Bull z rady grupy Louis Bull. – Potem dostaliśmy te pieniądze i ludzie mogli kupować wszystko, co chcieli. Zastąpiły one stare wartości. Gdy nie jesteś pewien wartości swego społeczeństwa, pieniądze stają się wartością samą w sobie. To nie przynosi szczęścia, za to kładzie większy nacisk na dobra materialne. Rodzina i wartości duchowe załamały się.

Pieniądze pochodzące z opłat za prawo wydobycia ropy wpłacane były na fundusz powierniczy w Ottawie, administrowany przez Departament do Spraw Indian. System ten dał każdej rodzinie w Hobbemie dochód miesięczny w wysokości trzech tysięcy dolarów i wię-

cej. W wieku 18 lat każdy członek grupy nabywał prawo do czeku na 30 tysięcy dolarów. System ten funkcjonuje do dzisiaj...

Zapach pieniędzy zwałił wkrótce handlarzy narkotyków, którzy szybko zapoznali Indian z jeszcze jednym „dobrodziejstwem” białej cywilizacji.

– Było tak dużo pieniędzy, że ludzie myśleli, iż rosną one na drzewach – powiedział Eddie Littlechild, wódz grupy Ermineskin. – Pieniądze odegrały olbrzymią rolę w pojawieniu się problemu narkomanii i alkoholizmu. Ludzie nie interesowali się pracą. Młodzi ludzie nie wiedzą, co to znaczy praca dla zdobycia pieniędzy. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jakie problemy mogą przynieść pieniądze.

Departament do Spraw Indian powinien był wysłać ekspertów, którzy przygotowaliby Indian do prawidłowego zarządzania tak pożądaną sumą pieniędzy. Władze jednak pozostawiły Indian samym sobie, zadowolone, że nie muszą się nimi zajmować, ponieważ mają pieniądze.

Leroy Little Bear, profesor studiów tubylczych Uniwersytetu Lethbridge w Albercie powiedział, że Indianie z Hobbemy znajdowali się „na samym dole drabiny społecznej” kiedy dotarli do nich pieniądze.

– Nie byli przygotowani mentalnie na tak olbrzymi napływ gotówki – dodał. – Nie przeszli kursów zarządzania pieniędzmi i planowania budżetu. Był to niekończący się napływ pieniędzy, bez odpowiedniego przygotowania. Zaczynają szaleć za nimi.

Historia Hobbemy pokazuje, że pieniądze nie mogą naprawić szkód wyrządzanych kulturze tubylczej od ponad wieku. Kiedy pieniądze pojawiają się zbyt nagle i w zbyt dużej ilości, stają się jeszcze jednym poważnym zagrożeniem dla tradycyjnych wartości. Szok spowodowany awansem z ubóstwa do bogactwa okazał się równie zabójczy jak szok spowodowany przymusową zmianą swobodnego, tradycyjnego stylu życia na życie w rezerwacie.

Oprac. Wiesław Koleczek

Na podstawie książki Geoffreya Yorka *The Dispossessed. Life and Death in Native Canada*. Wszystkie cytaty pochodzą z tej książki.

Umowa z Lubikonami zerwana!

Indianie Kri Jeziora Lubikon (Lubicon Lake Cree) z prowincji Alberta są jedną z tych niewielkich grup zamieszkujących puszcze Kanady, których nie objął dotąd żaden indiański traktat z władzami. Od dziesiątków lat starają się o formalne potwierdzenie prawa do tradycyjnie zamieszkanych terenów oraz o ochronę i przejęcie kontroli nad rabunkowo eksploatowanymi bogactwami ich ziemi.

Ostatnio władze Alberta oficjalnie wycofały się ze złożonej przed 8 laty propozycji przekazania rządowi federalnemu w Ottawie 248 kilometrów kw. ziemi na utworzenie rezerwatu dla Lubikonów. Obietnicę taką złożono w podpisanej w 1988 roku tzw. umowie z Grimshaw, zawartej między poprzednim premierem Alberta, Donem Gettym i wodzem Lubikonów, Bernardem Ominayakiem.

Zdaniem ministra do spraw tubylczych Alberta, Mike'a Cardinala, obietnica została wycofana, ponieważ grupa Lubikonów podzieliła się i liczy obecnie mniej, niż 450 członków.

– Propozycja z Grimshaw oparta była na populacji 474 ludzi, ale od tamtej pory część grupy otrzymała ziemię, zaś obecnie inny jej odłam stara się o uznanie za oddzielną grupę – oświadczył Cardinal.

Jego zdaniem, zgodnie z obecnymi przepisami każda 5-osobowa rodzina indiańska ma prawo do jednego kilometra kw. ziemi, ale ze względu na rozpad grupy umowa z Lubikonami straciła ważność i winna być renegotjowana.

W kregach sprzyjających wieloletniej walce Indian Kri Jeziora Lubikon decyzję władz Alberta przyjęto z oburzeniem. obrońcy Lubikonów twierdzą, że umowa z Grimshaw nie była w żaden sposób uzależniona od liczebności grupy. Zarzucają też władzom prowincji wprowadzanie w błąd opinii publicznej, zaś rządowi federalnemu – zwleknięcie i prowadzenie polityki „dziel i rządź” w stosunku do Lubikonów i innych „buntowniczych” grup tubylczych w Kanadzie.

Obrońcy Indian przypominają wyodrębnienie się z grupy Lubicon Lake Cree grupy Woodland Cree (Kri Leśnych), a obecnie – starania o uznanie grupy określającej się jako Little Buffalo Cree (Kri Małego Bizona) i odej-

Zniszczenie tradycyjnej ekonomii Lubikonów i ich drogi życia nie jest nieszczęśliwym rezultatem kontaktu pomiędzy tradycyjną tubylczą wspólnotą a współczesnym, przemysłowym państwem. To rezultat wykalkulowanej strategii rządu.

– Bernard Ominayak
wódz Kri Jeziora Lubikon

ście części Lubikonów do nowej grupy Loon River Cree (Kri Rzeki Nura). Podkreślają przy tym, że podziały te nie miałyby miejsca, gdyby nie pośrednie wsparcie władz dla działań rozłamowych wśród niepokornych Lubikonów.

– Podejrzewam, że ze względu na napływające wciąż dochody z pozyskiwania ropy naftowej, gazu ziemnego i drewna na terenach objętych roszczeniami Lubikonów oraz wydawanie ich przez władze prowincji [premier Ralph] Klein i jego gabinet są bezpośrednio zainteresowani przedłużaniem się negocjacji – oświadczył Nick Taylor, liberalny znawca spraw tubylczych w Kanadzie. Taylor stwierdził, że nabrał takich podejrzeń, kiedy w sierpniu minister Cardinal wezwał niespodziewanie wodza Ominayaka do potwierdzenia liczebności grupy Lubikonów.

Północnoamerykańscy i europejscy obrońcy praw Indian wzywają władze Alberta do realizacji umowy z Grimshaw (stosowną rezolucję przyjęto m.in. w 1995 roku podczas X Euro-meetingu w Szwajcarii). W październiku ub.r. zainicjowali kolejną publiczną kampanię na rzecz Lubikonów, podczas której apelują oni – grożąc m.in. bojkotem turystycznym Alberta – o potwierdzenie ważności umowy oraz zaprzestanie działań dzielących tubylcze społeczności i niszczących ich środowisko.

Oprac. Marek NowoCIEŃ

Na podstawie informacji od Big Mountain Aktionsgruppe e.V. z Monachium i Arbeitskreis „Indianer heute” e.V. z Nürtingen.

W ubiegłorocznym referendum o secesji (wystąpieniu) prowincji Quebec z Kanady, zwyciężyły głosy wyborców chcących zachować dotychczasowy charakter związkowy państwa. W sporej mierze przyczyniły się do tego głosy wyborców tubylczych. Poniżej drukujemy oficjalne stanowisko Rady Mohawków.

Oświadczenie Wodźów Okrągłego Stołu Mohawków o wynikach referendum w Quebecu

Rady Mohawków w Akwesasne, Kahnawake i Kanasatake zapoznają się z wynikami ostatniego referendum o secesji prowincji Quebec z Kanady.

Zdaniem Ludu Mohawków sprawa secesji nie została rozwiązana, chociaż większość mieszkańców Quebecu opowiedziała się za pozostaniem w Kanadzie. Zarówno były premier [prowincji] Parizeau, jak i przywódca Partii Quebecois, Lucien Bouchard zapowiedzieli, że nie przestaną zabiegać o niepodległość kraju, aż do zwycięstwa. Przywódcy Mohawków są świadomi tego stanowiska i nie dadzą sobą manipulować, ani się podporządkować.

Program i cele Mohawków nie zostały zmienione. W gruncie rzeczy, wyniki referendum i rasistowskie komentarze byłego premiera Parizeau umocniły przywódców wspólnoty Mohawków w ich dążeniu do pełnego uznania ich jurysdykcji, ziemi, języka i kulturowej tożsamości narodowej.

Mohawkowie będą dalej korzystać z niezbywalnego prawa do samorządności w zakresie uprawnień politycznych, ekonomicznych, terytorialnych i kulturowych. Traktatowe prawa Mohawków mają historyczną i konstytucyjną podstawę, wzmożoną przez unikalną, więc, ustanowioną podczas traktatu Two Row Wampum¹. Mohawkowie będą dalej bronić i podkreślać wartość swej ziemi.

Choć skutki referendum mogą być różne, przywódcy Mohawków nie pozwolą ani Quebecowi, ani Kanadzie utrudniać, podważać czy lekceważyć spraw, które są celami Mohawków. Przywódcy Okrągłego Stołu Mohawków opowiadają się za niepodzielną Kanadą, co stanowi najlepszą drogę do zdobycia harmonii i powrotu do dobrych stosunków wspólnot Mohawków i Kanady.

Jeżeli w przyszłości Kanada postanowi uznać dążenia Quebecu na drodze porozumienia konstytucyjnego, zwłaszcza w tych sferach, które bezpośrednio dotyczą ziemi i Ludu Mohawków, bez bezpośredniego zaangażowania lub przyzwolenia Mohawków – będzie to odebrane jako podważenie zaufania i pogwałcenie zasad Two Row Wampum. Tym samym wyraźnie stwierdza się, że Lud Mohawków będzie reprezentował sam siebie we wszelkich wystąpieniach dotyczących jego interesów, praw czy obowiązków.

Referendum popchnęło władze Quebecu do wniesienia Ustawy nr 1, która określa intencje niepodległego Quebecu do skolonizowania Ludu Mohawków i ich ziem. Stanowisko to, jawnie teraz określone, jest nie do przyjęcia przez Lud Mohawków. Ma charakter rasistowski i nie znajduje poparcia u przywódców Mohawków ani w Konstytucji Kanady.

Lud Mohawków wykazuje niezbędną przystojność umysłu i polityczną dojrzałość do zachowania zasad Two Row Wampum i pokojowej współegzystencji z innymi rządami, oczekując tego samego ze strony Kanady i Quebecu. □

Przetłumaczył Marek Maciołek

„Akwesasne Notes” Vol. 2, No. 1, wyd. zima 1995.

1. Traktat „Two Row Wampum” (wampum z dwoma pasami) został zawarty na początku XVII wieku przez Irokezów z Holendrami. Dwa równoległe pasy na wampumie oznaczają Czerwonego Człowieka i Białego Człowieka, żyjących obok siebie w pokoju i przyjaźni. Każda ze stron odpowiedzialna jest za swój własny rząd, religię i styl życia. Jedna strona nie ingeruje w sprawy drugiej. Oto irokeska koncepcja dobrego sąsiedztwa i pokojowej współegzystencji – przyp. tłum.

Donald A. Grinde, Jr

INDIANIE ERIE

Niewiele wiadomo o Indianach Erie poza tym, że na ich cześć nazwano jezioro i miasto. Przed przybyciem Francuzów w końcu XVII wieku przestali istnieć jako odrębne plemię, stąd tylko nieliczne zapiski mówią o ich historii. Niemniej jednak, dzięki badaniom antropologicznym, ustnym podaniom i świadectwom podróżników możemy ustalić kilka istotnych faktów.

Indianie Erie znani byli Francuzom jako *Eriehronon*, czyli Naród Kotów. Należeli do irokeskiej grupy językowej, będąc w równym stopniu pokrewni Huronom i Susquehannom, jak Senekom i innym członkom Ligii Irokezów. Do czasu, gdy ponieśli klęskę z rąk Irokezów w latach 1655-1656, żaden z białych nie zawitał do ich kraju. Nie wiadomo więc, czy byli odrębnym narodem, konfederacją czy też dzielącymi te same tereny plemionami, zmuszonymi do wojny. Ziemię Erie rozciągały się wzdłuż południowych brzegów jeziora Erie od zachodniego Ohio po zachodni Nowy Jork.

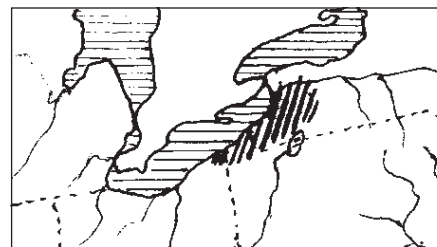
Po nawiązaniu kontaktu z Europejczykami Huroni ustanowili nad rzeką Św. Wawrzyńca i nad Wielkimi jeziorami monopol na handel futrami, które sprzedawali Francuzom w Montrealu. Erie również brali w tym udział. Huroni przemierzali całą wschodnią Kanadę, skupując od innych plemion skóry bobrów i wymieniając je na strzelby u Francuzów. W 1635 roku bobry na ich terenach zostały wytepiene. Zamieszkujący na południe od nich Irokezi również znajdowali się w tym samym położeniu, od kiedy pogłowię bobra w ich kraju zmniejszyło się gwałtownie, a Holendrzy wydali ustawę o zakazie sprzedaży Indianom broni palnej. Ponieważ Francuzi nadal handlowali bronią, więc Irokezi zaczęli rabować Huronom futra i z czasem wyparli ich z terenów nad rzeką Św. Wawrzyńca. Tym samym przejęli w pewnym stopniu rolę, jaką dotąd w sto-

sunkach z Francuzami odgrywali Huroni. W latach 1649-1659, chcąc rozszerzyć swe handlowe mocarstwo, postanowili przyłączyć do siebie lub zniszczyć Lud Tytoniowy, Neutralnych oraz Erie. Planu tego nigdy nie zrealizowali całkowicie, lecz Erie ulegli zagładzie.

W 1630 roku Erie zamieszkiwali w licznych wioskach na południowym brzegu jeziora o tej samej nazwie. Kiedy rywalizacja Huronów i Irokezów doprowadziła w latach czterdziestych XVII wieku do wojny, Erie próbowali trzymać się od niej z daleka. Kiedy Irokezi zniszczyli większość wsi huronów, ich ocalałe mieszkańcy zbiegli do Ohio i zachodniej Pennsylvanii, gdzie Erie udzielili im schronienia. W 1653 roku, kiedy doszło do nieporozumień między tymi ostatnimi a Senekami, Erie dali trzydziestu zakładników jako poręczenie pokoju. Jednak tej samej wiosny zabili pewnego Senekę, co jego współplemieńcom dostarczyło poszukiwanego pretekstu. Natychmiast uśmiercili dwudziestu pięciu zakładników (pięciu ratowało się ucieczką), a potem zażądali wydania trzymanych wśród Erie Huronów. Kiedy Erie odmówili, wybuchła wojna.

Pod koniec 1653 roku Erie w sile dwóch tysięcy wojowników musieli stawić czoło plemionom żyjącym na zachód od jeziora Erie oraz Irokezom. Walczyli mężnie, lecz zatrute strzały z ich łuków nie mogły sprostać strzelbom Seneków. Wiosną 1654 roku Senekowie wezwali całą konfederację irokeską do walki z Erie. Działania wojenne osiągnęły swój szczyt latem. Erie spłądrowali i spalili wiele wiosek Seneków w zachodnim Nowym Jorku. Kiedy jednak jezuici zaczęli uzbrajać Irokezów, stało się jasne, że Erie czeka zagłada. 14 sierpnia 1654 roku tysiąc ośmiuset irokeskich wojowników wyruszyło, aby raz na zawsze skończyć z przeciwnikiem.

Dwa i pół roku walk przyniosło w końcu klęskę Erie. Wojna nosiła niemal ludobójczy charakter, gdyż Irokezi (szczególnie Senekowie) masakrowali prawie każdą większą wieś wroga. Ci Erie, którzy uniknęli zagłady, rozproszyli się wśród sąsiadujących z nimi plemion. Zachowały się pewne świadectwa z 1667 roku, że Erie poprzez spokrewnienie się z Irokezami, stali się członkami ich konfederacji. W latach osiemdziesiątych XVII wieku sześciu-



set mężczyzn, kobiet i dzieci Erie poddało się dobrowolnie Irokezom. Zostali umieszczeni przez nowych współplemieńców na południu Pennsylvanii i w Zachodniej Wirginii.

O losie pozostałych Erie nie wiadomo nic pewnego. Niektórzy naukowcy sądzą, iż Szawanezi – „Ludzie Południa” to Erie, którzy znów się zebrali po rozproszeniu ich przez Irokezów. Najprawdopodobniej chodziło tutaj o Erie, przyjętych po klęsce do okolicznych plemion, nie pamiętających swych korzeni.

Klęska zadana Erie przez Irokezów stanowi przykład taktyki wojennej Indian. Naciskani wymogami handlu z białymi, Irokezi zwrócili się przeciw słabszym i mniej liczny sąsiedom, aby pozyskać dobra potrzebne im w transakcjach z Europejczykami. Erie po klęsce nie byli jednak prześladowani, lecz wymieszali się z Irokezami, stając się pełnoprawnymi obywatelami ich konfederacji. Wyrozumiałość wobec pokonanych plemion jest cechą charakterystyczną wojen prowadzonych przez Indian.

Donald A. Grinde

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Donald A. Grinde jest Indianinem z plemienia Yamasee. Obecnie wykłada historię na Uniwersytecie Vermont. Z licznych jego publikacji, najbardziej znane to *The Iroquois and the Founding of the American Nation* i napisana razem z Bruce'em E. Johansenem *Exemplar of Liberty – Native America and the Evolution of Democracy*. Artykuł *A Historical Sketch of the Erie Indians* ukazał się w „The Journal of Erie Studies” vol. 2, no. 2, jesień 1973. Publikujemy go w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą autora oraz Mercyhurst College i Erie County Historical Society, współwydawców artykułu.

MAKAH

Nazwa znaczy „ludzie przylądka”. Zwani także:

Ba-qa-o – przez Indian Puyallup

Cape Flattery Indians (Indianie Przylądka Pochlebstwa) – od miejsca zamieszkania

Classet – przez Indian Nootka, co znaczy „obcy”

Kwe-net-che-chat – nazwa własna, znacząca „Ludzie Przylądka”

Tla'asath – przez Nootka, co znaczy „ludzie z poza”

Język: Makah należą do odłamu Nootka **wakoszańskiej** rodziny językowej.

Rozmieszczenie: zamieszkiwali tereny wokół Przylądka Pochlebstwa (Cape Flattery), choć uznawali za swoje tereny wyspę Tatoosh oraz ziemie położone na wschód od tego miejsca aż do rzeki Hoko i na południe do Rocks Flattery. Później przeniesieni zostali do rezerwatu Makah.



Wioski. Osiedla zimowe: *Baada*, przy zatoce Neah; *Neah*, na terenie starego hiszpańskiego fortu Port Nuñez Gaona przy zatoce Neah; *Waatch*, u ujścia strumienia Waatch, cztery mile od zatoki Neah.

Wioski letnie: *Ahchawat*, na Przylądku Flattery; *Kehsidatsoos*, lokalizacja nieznana; *Kiddekubbut*, trzy mile od zatoki Neah; *Tatoosh*, na wyspie Tatoosh.

Liczebność: James Mooney w 1923 roku oszacował ich liczbę, razem z Indianami Ozette na dwa tysiące w 1780 roku, sugerując się danymi z wyprawy Lewisa i Clarka w 1805 roku. W roku 1905 Makah liczyli 435 osób. Spis ludności z 1910 roku podaje liczbę 360. Raport Biura do Spraw Indian Stanów Zjednoczonych z 1923 roku podaje liczbę 425, włączając w to Indian Ozette. W 1937 roku, licząc znowu z Ozette, było ich 407.

Oprac. Niedźwiedz

Literatura „wroga” i „sympatyczna”

Z profesorem **Ronem Carterem**
rozmawia Przemysław Bartuszek

11 czerwca 1996 roku w Muzeum Etnograficznym w Warszawie miał miejsce wykład dotyczący sztuki Indian Ameryki Północnej. Impreza została zorganizowana przez Ośrodek Studiów Amerykańskich (OSA) i Muzeum Etnograficzne, przy skromnym udziale warszawskiej grupy indianistów. Wykład prowadził prof. Ron Carter (Indiana University, a w Polsce – OSA), literaturoznawca, specjalista od literatury tubylczych Amerykanów i literatury westernowej.

W czasie dwugodzinnego wykładu przedstawiono szereg slajdów „przedstawiających” obrazy Catlina i Bodmera, wyroby rękodziela indiańskiego (np. Siuksów, Wrony, Nez Perce, czy koce Nawahów).

Ron Carter jest w dziesięć procentach Siuksiem. Jego babka, jako trzyletnia dziewczynka – kuzynka Siedzącego Byka – była nad Little Bighorn podczas bitwy. Pamięta Siedzącego Byka gdy wrócił z Kanady i odwiedził ich w Pine Ridge przed powrotem nad Rosebud Creek. Widząc masakrę nad Wounded Knee opuściła rezerwat, po czym wyszła za mąż za pradiadka prof. Cartera.

Po wykładzie udało mi się chwilę porozmawiać z profesorem.

Jaka jest Pańska opinia o „białej” i indiańskiej literaturze dotyczącej tubylczych Amerykanów?

Są dwa rodzaje literatury tworzonej przez białych. Pierwsza to literatura „wroga”, postrzegająca Indian jako dzikusów; dominowała ona do lat dwudziestych naszego wieku. Drugi rodzaj to literatura „sympatyczna”. Tworzyli ją tacy pisarze, jak Karol May czy Frank Waters. Przykładem takiej literatury mogą być obecnie książki Tony'ego Hillermanna. Są to powieści detektywistyczne, których akcja toczy się wśród Nawahów. Zresztą autor otrzymał od narodu Nawahów nagrodę za swą twórczość. Zdaniem antropologów, a także tu-

bylczyc Amerykanów są to powieści bardzo sympatyczne, trafne i obiektywne.

Literatura tubylcza natomiast jest bardziej przygnębiająca, ponieważ opowiada głównie o współczesnych problemach Indian, a także życiu w rezerwach.

Czy mógłby Pan wyrazić swoją opinię o kilku znanych w Polsce książkach, dotyczących Indian. Na przykład Pochowaj me serce w Wounded Knee Dee Browna?

Dwadzieścia lat temu była to najbardziej trafna książka na temat historii wojen Indian amerykańskich z białymi, lecz w ciągu tych minionych lat dowiedzieliśmy się na ten temat dużo więcej, powstało wiele rzetelnych publikacji. Dlatego też niektóre fakty wydają się obecnie trochę przesadzone. Nadal jednak jest to solidna i polecana przez antropologów i historyków książka.

A Wódz Słońca. Autobiografia D. C. Talayesvy, Indianina z plemienia Hopi w opracowaniu Leo Simmonsa?

Książka ta jest bardzo cenna z antropologicznego punktu widzenia, głównie ze względu na bezpośrednią relację i legendę. Jednak naukowcy przyłapali Talayesvę na paru nieścisłościach i na tej podstawie kwestionują autentyczność całej książki. Na przykład uznali życie D. C. Talayesvy za przesadzone. Bohater zbyt wiele sobie przypisał. Książka ta jest dobra pod pewnymi względami, ale słaba pod innymi.

Czarny Łoś Johna G. Neihardta?

Z tą książką mamy podobny problem, co z Wodzem Słońca, bo Czarny Łoś też pragnie wywrzeć jak największe wrażenie na Neihardcie. Czarny Łoś doświadczył bardzo intensywnych wizji, a pod koniec życia miał poczucie, że je zaprzepaścił, że je zdradził, przyjmując chrzest. Czytelnik musi sam zdecydować, czy przejście na katolicyzm jest zdradą wizji.

I na koniec Dom utkany ze świtu N. Scotta Momadaya?

Autor stara się pokazać problemy indiańskich weteranów powracających z wojny. Bohater tej powieści wraca do rezerwatu i zostaje

uzdrowiony. Momaday pokazuje, że powrót do kulturowych i religijnych korzeni jest zbawieniem dla tubylczych Amerykanów. Idea ta jest bardzo popularna wśród tubylczych artystów.

Słyszałem, że jest Pan agentem literackim Joy Harjo na teren Polski. Czy mógłby Pan coś o niej powiedzieć?

Joy Harjo jest półkrwi Indianką, lecz myśli jak Indianka. Myślenie takie to nie sprawa krwi, nie musisz być w stu procentach Indianinem, żeby myśleć w ten sposób. Jest ona bardzo piękną, wrażliwą kobietą. Na wieczorach poetyckich sama czyta swoje wiersze i wtedy słuchanie jej jest emocjonalnym przeżyciem, dla mnie jest jak przeżycie religijne. Rzadko można usłyszeć bardziej uduchowioną poetkę.

Dziękuję Panu serdecznie za tę krótką rozmowę.

Ja również dziękuję.



Indianie na zamku w Książu

Wiele osób słyszało zapewne o słynnym Zamku Książ koło Wałbrzycha. Obecnie warto go zwiedzić szczególnie – od lipca do 10 października w „Sali Konrada” na zamku czynna jest wystawa „Indianie w Wałbrzychu”, której zasadniczą część stanowią zbiory z kolekcji Krzysztofa Zawojkiego.

Sam Krzysztof jest niewątpliwie jedną z ciekawszych postaci Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian. Urodzony w 1958 roku, już w połowie lat 70. był jednym ze współtwórców zasłużonego dla kilku pokoleń indianistów Klubu Catawba (później „Ottawa” i „Candu”) przy Technikum Leśnym w Rzepinie. Na jednym z pierwszych zlotów poznał swoją żonę, Elżbietę. Jeździł też sporo po świecie, nawiązując kontakty i zbierając materiały do swojej indiań-

skiej kolekcji. Dziś, będąc pracownikiem PKP i członkiem Rady Miasta Wałbrzycha, swoje zainteresowania Indianami nadal traktuje jako sposób na życie i kształtowanie osobowości, poznanie innych ludów i własnych tradycji, pogłębienie wartości społecznych i rodzinnych (jest m.in. działaczem Stowarzyszenia Rodzin Katolickich).

Wystawa „Indianie w Wałbrzychu” ma charakter ekspozycji etnograficznej – efektu ponad 20 lat zbierania i własnoręcznego wykonywania wielu interesujących eksponatów. Odzwierciedlenie znajduje w niej tak typowa dla indiańskich ludów duchowa wizja świata (znane fajki Indian Równin, wyszywane koralikami Ptak Pejotlowy, taneczne maski Apaczów), prosty, lecz praktyczny i barwny tradycyjny sposób życia (przedmioty codziennego użytku, stroje, biżuteria i instrumenty muzyczne z różnych regionów Ameryki), a także kulturowe przemiany zachodzące nieuchronnie w indiańskich społecznościach (pamiątki „dla turystów”).

Obok wyrobów zamkniętych w gablotach (słabo, bo niektóre giną...) na wystawie znalazły się też obrazy i grafiki (oryginały i kopie) o tematyce indiańskiej oraz – jakże by inaczej – płóciennę tipi (szkoda, że w niskiej sali nie dało się go porządnie wyeksponować). Zaś w kącie leży sobie skromnie znaczek – powstałego z inspiracji Krzyśka – PSPI...

Towarzyszące eksponatom opisy mogą nas zapoznać z szeregiem ciekawostek dotyczących zarówno dawnych kontaktów Polaków z Indianami (choćby o Stanisławie Smolaku z rzeszowszczyzny, który został wodzem Ottawów), jak i nie tak wcale rzadkich możliwości ujrzenia prawdziwych Indian na wałbrzyskiej ziemi (są liczne przykłady).

„Wiele osób pyta mnie, czy w Wałbrzychu byli Indianie – pisze Krzysztof. – Tak, oni są i żyją wśród nas, dzięki kulturze, o którą ociepamy się każdego dnia.” Może również dzięki temu – także z inspiracji Krzysztofa – w regionalnej prasie można znaleźć ostatnio sporo informacji i artykułów o tamtejszych przyjaciółch Indian.

Plany Krzysztofa sięgają dużo dalej. Ale do Książa warto zajrzeć już teraz.

(Cień)

Odpowiedź Czejena na list otwarty Waldka Naczeza Kuligowskiego

Drogi Naczezie,

Jak na razie Twój list jest jedyną krytyczną oceną mego *Leksykonu 300 najsłynniejszych Indian*. Zdaję sobie doskonale sprawę, że książka ta nie jest szczytowym osiągnięciem w „tym temacie”, ale bez fałszywej skromności uważam ją za najlepszą rzecz o Indianach Ameryki Północnej, napisaną w języku polskim. Sądzę więc, że powinienem ustosunkować się do poczynionych wobec niej zastrzeżeń.

Zaczniemy od sprawy mapy. Jest istotnie bardzo słaba, ale jej dobór, podobnie jak ilustracji i w ogóle całej szaty graficznej, nie zależał ode mnie. Powinna być jak najlepsza i – w przeciwnieństwie do Ciebie – traktuję to jako poważny minus mej pracy.

Drugi zarzut dotyczy faktu, że najwięcej przedstawicieli w *Leksykonie* mają najbardziej znane czytelnikom plemiona. Nie mogło być inaczej choćby z dwóch powodów: były to albo największe liczebnie narody, choćby z tej racji dominujące w kontaktach z białymi (Irokezi, Czirokezi, Krikowie, Siuksowie) albo te, które z tej czy innej przyczyny weszły na trwałe do historii i legendy Ameryki (Kiowa, Czejenowie, Apacze, Seminole). Nie jest prawdą, że „pseudoksiążki” i „pseudofilmy” nie zafałszowują obrazu tubylczej Ameryki zonglując ciągle tymi samymi zestawami postaci i rekwizytów! Wystarczy jedynie wydestylować z mętnego roztworu wszem znane składniki i otrzyma się to, co wśród Indian najlepsze.” Jakoś nikt do tej pory nie „wydestylował” tych „wszem znanych” (komu?) składników. W żadnej polskiej publikacji, ośmielałem się stwierdzić, nie znajdziesz tylu informacji na temat rzekomo dobrze znanych Indian. Te promenady, o których piszesz, nie są znów tak nasłonecznione. Zgadzam się natomiast z Tobą, że leksykon nic by nie stracił, gdyby znalazło się w nim mniej Siuksów czy Czejenów, a więcej Szawanezów czy Abenaków, nie mówiąc już o przedstawicielach mniej znanych ludów. Nie chodzi już nawet o „uwikłanego w komedię pomyłek” Szalonego W Domu. Uchodził w końcu przez całe lata za Szalonego Konia, więc należało to sprostować. Mam na myśli takich wojowników jak Czerwony Koń, Wiel-

ka Droga czy Noga Indyka. Nie wyróżniali się oni niczym szczególnym wśród sobie współczesnych, prochu nie wymyślili. Zapominasz jednak, w jakich realiach pisze się u nas (i boję się, że jeszcze długo się będzie pisać) prace o Indianach. Wydawcy z nieuzasadnionych, choć zrozumiałych, powodów uważają, że głównie Indianie z Równin przyciągną czytelnika, zwłaszcza młodego. Przystałem więc na sugestię sztabu wydawniczego, zgadzając się z tym, że przygody i portrety wyżej wymienionych wojowników kształtują wizerunek Indianina z Równin. Nie jest więc prawdą, że o doborze postaci do *Leksykonu* zadecydowały moje osobiste upodobania. Mało jest plemion, które darzę większą sympatią i szacunkiem niż Paunisów czy Indian znad Rzeki Złoczyńców (Rouge River) w Oregonie, tymczasem Paunis mają w *Leksykonie* tylko jednego (dwóch) przedstawicieli, zaś Złoczyńcy żadnego. Gdybym chciał sporządzić biografię, na przykład Starego Johna – wielkiego wodza tych ostatnich, złożyłaby się na nią jedynie historia wojny jego plemienia z Amerykanami w latach 1855-56, w której był jednym z przywódców. Nie dysponuję bowiem żadnymi danymi o nim przed i po zakończeniu tego konfliktu, nie wiem nic bliższego o jego życiu rodzinnym, wyglądzie, przygodach, etc., czyli o tym, co jest solą każdej biografii. Nie chciałem, by książka była jeszcze jedną historią wojen indiańskich, a tak by się stało, gdybym uwzględnił wodzów na przykład Lipanów, Waco, Cayusów czy Yuki, toczących heroiczne boje z białymi.

Oczywiście, że *Leksykon* ustala pewien kanon wiedzy historycznej, toteż nigdy bym sobie nie pozwolił na rozlaną kawę czy też błąd w druku. Mowa, naturalnie, o liczebności Indian północnoamerykańskich w 1492 roku. Dysponujesz nieaktualnymi już dawnymi źródłami, bazującymi na badaniach Jamesa Mooneya i Alfreda L. Kroebera, pracujących w drugiej połowie XIX wieku i w pierwszej XX, a także ich poprzedników. Nowe szacunki sporządzono na podstawie: 1) badań archeologicznych, które wykazują istnienie o wiele większych skupisk ludności niż sądzono w czasach Mooneya; 2) analiz materiałowych historycznych, w tym dokumentów niedostępnych Mooneyowi, do których dotarto o wiele później; oraz 3) porównawczych badań epidemiologicznych nad ludami wystawionymi na działanie chorób europejskiego pochodzenia, co pozwala nam na uzmysłowienie sobie, w jakim stopniu te cho-

roby przetrzebiły północnoamerykańskich krajowców. Nie ma więc w podanych przeze mnie cyfrach żadnej pomyłki, a dysponuję nimi dzięki korespondencji z jednym z najwybitniejszych fachowców w tej dziedzinie, profesorem Henrym F. Dobynsem i lekturze jego *Native American Historical Demography: A Critical Bibliography*.

I wreszcie ostatni zarzut, najpoważniejszy, z którym w żaden sposób nie mogę się zgodzić, a mianowicie ten, że mojej książce brakuje „...szerszej perspektywy, głębokiego historycznego «oddechu»”. Każdy leksykon jest pisany przede wszystkim z myślą o określonym kręgu osób. Mój jest, oczywiście, przeznaczony dla zainteresowanych historią Indian, zarówno dla fachowców, jak i dla laików. Ci drudzy winni uważnie przeczytać wstęp, który nie najgorzej chyba zaznajamia z historią stosunków między Indianami a białymi w Ameryce Północnej, a następnie sięgnąć do poszczególnych biografii. Jestem zaskoczony, że Tobie – przecież fachowcowi – lektura biografii 14 wybitnych Kiowów nie mówi nic o kontaktach tego plemienia z białymi. Moim zdaniem,



Indianiści w Krotoszyńskim Ośrodku Kultury

Miało to miejsce 9 marca br. Koncert zespołu „Tomahawk” i dym z kadzidełek sprawił, że we właściwym miejscu i właściwym czasie spotkało się kilku ludzi, dla których świat Indian nie kończy się na Winnetou i Old Shatterhandzie, lecz istnieje głębiej i dalej, tak jak ciągle jeszcze istnieje wolność szybującej ptaka i nocny głos wilka. Tak oto powstała grupa Arapaho, której spotkania odbywają się co dwa tygodnie w Krotoszyńskim Ośrodku Kultury. Tradycja jest już herbata na początek każdego z nich (chyba, że ktoś woli kawę). W chwilę potem rozpoczynają się pogadanki o wszystkim, co dotyczy Indian. O kulturze, wierzeniach, o tym, jacy naprawdę byli i są tubylczy mieszkający obu Ameryk. Ważne jest wszystko: tradycje plemienne, ozdoby, wzory na ubraniach, znaki porozumiewawcze. Słuchamy muzyki związanej z tą kulturą, oglądamy filmy. Dzięki pani Marii Giżyckiej możemy jechać w tym roku na zlot indianistyczny do Chodzieży, którego tradycja sięga dwudziestu

nie obeznany nawet z tematyką, czytelnik może sobie wyrobić ogólny pogląd na dzieje danego narodu, tym bardziej, że dysponuje życiorysami wybitnych Indian z plemion sąsiadujących z, na przykład, Kiowami jak Czejenowie czy Komancze i w dużym stopniu dzielących ich losy. Nie sposób przy każdej biografii dać choćby najogólniejszy zarys historii narodu, z którego pochodzi jej bohater; to temat na drugą książkę.

Właśnie zaczynam pracę nad pisanem czegoś w rodzaju leksykonu wojen i bitew indiańskich i mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto zechce to wydać. Twoje obawy, że po jej ewentualnym ukazaniu się miałbyś zwracać się do mnie per „mistrzu”, to – mimo że zakończenie Twego listu brzmi tak poważnie – czysta kokieteria. Bo już pomijając wszystko, co nas łączy od dobrych paru lat, to Twoja wiedza o Indianach również może zaimponować każdemu, a wiesz dobrze, że w sprawach zasadniczych nie szafuję pustymi komplementami. □

Zawsze Ci oddany
Czejen

lat. Będziemy mieli więc szansę poznać odmiennie od naszego życie, stać się na jakiś czas prawdziwą częścią przyrody.

Magda Bednarek

Szukam kontaktu

Szukam źródeł oraz kontaktu z osobami grającymi na fletach, wywodzącymi się z tradycji Indian Ameryki Północnej. Ponadto artykułów, opracowań związanych z muzyką dawnych tradycji, jak też i współczesnych inspiracji. Język polski lub angielski.

Jestem zainteresowany medycyną lub elementami naturalnych metod leczenia Indian Ameryki Północnej, szczególnie tych, które stosuje się obecnie także poza USA.

Gabinet BODYWORK
Oś. Kosmonautów 13 m 108
61-631 Poznań
tel. (0-61) 232-706

To chcesz być Indianką

To chcesz być Indianką, nosić koraliki
i piórka, egzotyczne skórki i rzemyki.

Chcesz korzystać z programów dla mniejszości
i dotacji i chcesz być zauważaną.

I chcesz ocierać się o gwiazdy filmowe
i chodzić na przyjęcia, bo
nagle jesteś interesująca
i każdy chce być twoim przyjacielem.

To chcesz być Indianką,
jeździć na powwow i tańczyć jak oni.

Ale nie chcesz żyć w rezerwacie
ani w taniej ruderze na końcu drogi
w mieście na północ donikąd.

I nie chcesz myśleć o umierającej Sarze,
lat 34, z wydętym brzuchem,
ani o jej czterech dzieciakach. Nie chcesz
by twoi nie-indiańscy przyjaciele przyłapali cię
na mieleniu kukurydzy na kamieniu,
albo zobaczyli pęki papryki i cebuli
wiszące na ścianach kuchni pod sufitem.

I nie chcesz pracować na polu ziemniaków w Idaho
ani sprzedawać turkusowej biżuterii na ulicy w Flagstaff.

I nie chcesz wyjść za Indianina alkoholika
i być bita dzień w dzień.

I nie chcesz modlić się po staremu,
ofiarować swe ciało i pościć cztery dni.

I nie chcesz iść do więzienia
za walkę o swe prawa.

No dalej, bądź sobie Indianką.

My i tak ciebie przetrzymamy.

Przełożył Marek Maciołek

„The Four Directions. American Indian Literary Quarterly”. Vol. 1, No. 3, wyd. zima 1992.

Zwierzienia Cienia

37. Kiedyś interesowałem się Indianami. Tak po prostu. Nie miałem raczej wątpliwości, czy, jako samotny „miłośnik Indian” z małego miasteczka, mam prawo uczestniczyć w zlotach „Klubów Zainteresowań Kulturą Indian” (bo tak się początkowo nazywały). Tym bardziej, że spotkałem tam wielu mi podobnych... Właśnie, kogo? „Miłośników Indian”? Dziś brzmi to trochę infantylnie. „Indianistów”? To słowo pojawiło się chyba nieco później. „Przyjaciół Indian”? Tego określenia, jak i samej nazwy Ruchu, zaczęto używać dopiero od 1981 roku, po V zlocie w Borach Stobrawskich. Mało kto pamięta jeszcze tamte gorące spory o nazwę: „PRPI”, „Ruch Ludzi Natury”, a może – stowarzyszenie? Nazwę wybraliśmy chyba nie najgorzej. Ale czy kiedykolwiek myśleliśmy nad jej głębszym sensem?

38. Taka nazwa zobowiązuje. Bo przyjaźń zobowiązuje – bardziej niż inne uczucia. Bardziej, być może, niż miłość... Na przyjacielu można polegać, od przyjaciela można wiele wymagać. Kiedy nazywaliśmy się Polskim Ruchem Przyjaciół Indian na pewno nie do końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Mieliśmy dobre intencje – chcieliśmy być razem, poznawać Indian, często naśladować ich, i czasami – gdy tylko się dało – pomagać im. Ale w którym momencie ze zwykłego „miłośnika” staowało się „przyjacielem” Indian? Czy wystarczyło utożsamiać się z Ruchem i zyskać jego akceptację? Może trzeba było nacytać się książek, wykuć daty bitew i imiona wodzów? A może raczej należało obwiesić się ozdobami z piór i paciorów, zamieszkać latem w tipi i – odpędzając cierpliwie Brata Komara – śpiewać „indiańskie” pieśni? Czy dość było umieć dyskutować o Fajce Pokoju, Tradycji i Ścieżce Piękna, czy też chodziło o „zaliczone” szalasy i indiańskie biegi? A może liczyły się podpisy pod petycjami, listy do więźniów i kredki dla Szkół Przetrwania? Co to znaczy, być „przyjacielem Indian”? I których Indian, wszystkich? Czy tak

w ogóle wolno samemu nazwać się czymś przyjacielem? A jeśli tak, to kiedy? Czy często pytamy Indian o to, kim dla nich jesteśmy? I czy nas to w ogóle obchodzi? Czy słowa „jestem twoim przyjacielem” i „jesteś moim przyjacielem” znaczą zawsze to samo? I zawsze mają tę samą wagę?

39. Napisałem już kiedyś, że przyjacielem Indian się nie jest – ich przyjacielem się bywa. I ma to niewielki związek z przynależnością do Ruchu, czy członkostwem w jakimkolwiek stowarzyszeniu. Trudno zresztą, by było inaczej, skoro dzieli nas od nich pół świata, gdy niełatwo jest im coś ofiarować, lub choćby okazać wdzięczność. Czasem można – i to na wiele sposobów. Lecz ilu z nas to potrafi, ilu na tym zależy? Ktoś kiedyś nazwał nas ładnie „ambasadorami Indian”. To określenie zwraca uwagę na nasze oddalenie (bycie na „placówce”), na wzajemną bliskość (bo chociaż ambasador nie musi należeć do społeczności, którą reprezentuje, to musi być jej bliski i cieszyć się jej zaufaniem) i – na nasze obowiązki.

40. Mało kto z nas wie, jakie są obowiązki ambasadora. I chyba niewielu z czystym sumieniem nazwałoby się „ambasadorami” Indian. Tymczasem niemal wszyscy utożsamiamy się z PRPI, a więc nazywamy się ich przyjaciółmi. Czy jednak mamy do tego prawo? Spójrzmy choćby na nasz niedawny zlot – i nie chodzi mi wcale o brak jedności, trzeźwości, itp. Było tam mnóstwo ludzi, było wielu miłośników indiańskiej kultury, historii, muzyki, filozofii. Słowem – kupa miłośników Indian, ale czy wielu ich przyjaciół? Nie tylko fascynatów – zakochanych w Indiańskim Świecie, poszukujących w nim czegoś dla siebie... Lecz także osób świadomych swoich zobowiązań wobec Indian i odpowiedzialności za bycie kimś więcej, niż tylko „indianistą”. Ludzi nie cierpiących na „kompleks białego”, ale po prostu wdzięcznych Indianom za to, co od nich dostali. Nie tylko tolerancyjnych, ale – rozumiejących, współczujących, skłonnych do pomocy i poświęceń. Czy aby było ich dość, jak na XX Zlot PRPI? Cóż, może nie mnie to oceniać... □

„TAWACIN” PROPONUJE:



Leksykon 300 najsłynniejszych Indian Aleksandra Sudaka to jedyna w Polsce publikacja o charakterze encyklopedycznym, zawierająca sylwetki najbardziej znanych Indian Ameryki Północnej. Obok fotografii i podstawowych informacji biograficznych, czytelnik znajdzie także barwne, czasami dramatyczne, choć nie pozbawione humoru wizerunki postaci, które na trwałe wpisały się do historii wzajemnych relacji Indian i białych na przestrzeni wieków. Autor z żarliwością wymienia zalety ich charakteru i błyskotliwe osiągnięcia, jak również ich wady i słabości, czym niejednokrotnie może zbulwersować czytelnika.

Aleksander Sudak: *Leksykon 300 najsłynniejszych Indian*. Wyd. Akcydens. Poznań 1995, stron 256, cena 29 zł.



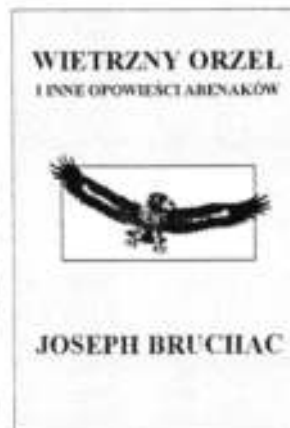
Pewien starzec stojący na górze Harneya wznosił ramiona do pustego nieba i zawołał rozpaczliwie: „O sprawcie, by żył mój lud!” Nazywał się Czarny Łoś, był wojownikiem i świętym człowiekiem Siuksów Oglala, a w 1890 uczestniczył w ostatniej masakrze Siuksów nad strumieniem Wounded Knee. W tej książce, zaliczanej dziś do indyjskiej literatury, opowiada o wielkiej wizji, jakiej nie doświadczył żaden inny człowiek. Dzięki niej miał przetrwać naród Siuksów.

CZARNY ŁOŚ. Dzieje świętego człowieka Siuksów Oglala... ZYSK i S-ka. Poznań 1994, stron 220, cena 14 zł.



Pierwsza antologia indyjskiego piśmiennictwa w języku polskim. Wybór tradycyjnych legend i pieśni (wraz z nutami!), sztuka krasomówcza, wspomnienia, współczesna poezja i proza. Każdy rozdział poprzedzony wstępem teoretycznym.

Leszek Michałik: *Tylko Ziemia przetrwa...* Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK. Sztum 1992, stron 140, cena 5 zł.



Wietrzny Orzeł to zbiór przepięknych opowieści Abenaków, nawiązujących do tradycji gawędziarstwa. Indyjskie opowieści, opowiedane przeważnie jesienią i zimą, bawiły słuchaczy, a jednocześnie uczyły i przypominały o podstawowej mądrości życia w harmonii z naturą. Peripetie Gluskaiego, mitycznej postaci w kulturze Abenaków, odwołują się do naszej wyobraźni i ilustrują związki człowieka z otaczającym światem; i choć nie mamy takich zdolności jak Gluskaie, możemy jednak swoimi poczynaniami albo umacniać życie na ziemi, albo je niszczyć. Opowieści Josepha Bruchaca są mądre i praktyczne, prawdziwie ekologiczne i przyjazne człowiekowi.

Joseph Bruchac: *Wietrzny Orzeł i inne opowieści Abenaków*. Biblioteka „Tawacina” nr 24. Wyd. Tipi. Wielichowo 1995, stron 64, cena 4 zł.



Mały Bizon Arkadego Fiedlera, który ukazał się po raz pierwszy w 1952 roku, doczekał się już wielu wydań, także w językach obcych. Dla wielu to była pierwsza książka o Indianach, darzona do dziś niezmiennym sentymentem. Obecne wydanie poprzedzone zostało przedmową Aleksandra Sudaka.

Arkady Fiedler: *Mały Bizon*. Wyd. Akcydens. Poznań 1996, stron 256, cena 16 zł.



Najnowsza powieść Sat-Okha, której akcja rozgrywa się w dwóch płaszczyznach czasowych: współczesnej i 150 lat temu. Czytelnik znajdzie w niej tajemnicze wydarzenia i niesamowite sytuacje z pogranicza rzeczywistości i nadrealnego świata indyjskich duchów. Drugi tom „Serii indyjskiej”.

Sat-Okh: *Tajemnica Rzeki Bobrów*. Wyd. Akcydens. Poznań 1996, stron 160, cena 13 zł.



Książka przedstawia wydarzenia z lat 1607–1890. Barwne, obfite w szereg danych liczbowych i faktycznych, opisy bitew wzbogacone zostały licznymi ilustracjami – oryginalnymi zdjęciami oraz reprodukcjami obrazów (papier kredowy, format A4). Ponadto mapy, poszet wodzów oraz chronologia wydarzeń.

Historia wojen Indian Ameryki Północnej. Wyd. Akcydens. Poznań 1995, stron 208, cena 28 zł.



Marek Fiedler napisał kolejną książkę poświęconą sławnemu wodzowi, tym razem Siedzącemu Bykowi. To postać ze wszech miar złożona i niezwykła. Miał gorących zwolenników, ale również wielu wrogów – także pośród samych Indian. Ktoś kiedyś powiedział, że wojownik, który przegrywa, jest przestępcą, ten zaś, który wygrywa, staje się mężem stanu.

Marek Fiedler: *Siedzący Byk*. ZYSK i S-ka. Poznań 1996, stron 164, cena 12 zł.



Praca wybitnego polskiego archeologa, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, w której autor powraca do tematu Indian – ukazywanych zazwyczaj w konwencji przygodowej – aby wykorzystując badania własne i nauki światowej, ukazać cywilizację, a więc wierzenia, kulturę materialną dnia codziennego, sztukę i mentalność ludów zamieszkujących teren Ameryki Północnej w czasach przedkolumbijskich. Książka składa się z dwóch części: Pradzieje, obszernie omawiającej mało znane fakty o najdawniejszych kulturach występujących na północy od dzisiejszego Meksyku (m.in. Anasazi, Mogoloni, Hohokam, Adena i Hopewell) oraz Biali i Indianie, dotyczącej bardziej już znanych czasów podboju Ameryki i wzajemnych relacji Indian z białymi. Całość bogato ilustrowana, ponadto liczne szkice i mapy.

Jerzy Gąssowski: *Indianie Ameryki Północnej*. Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusku i Wyd. TRIO. Warszawa 1996, stron 224, cena 19 zł.



Dzikie Zachód – te słowa wciąż działają na wyobraźnię i wywołują obrazy bezkresnych prerii, fortów spowitych dymem wystrzałów, miasteczek z jedną ulicą, sceny pojedynków rewolwerowców... Encyklopedia Dzikiego Zachodu to przewodnik po tamtych czasach i wydarzeniach. Bogato ilustrowana, w twardej oprawie, duży format. Indianom poświęcono nieco mniej miejsca, omawiając plemiona (Apatce, Czejenowie), sylwetki wodzów (np. Cochise, Czerwona Chmura) oraz bitwy i inne fakty (np. Akt wysiedlenia Indian). Na uwagę zasługują ponadto rysunki Czarnego Losia i mało znane fotografie.

Jarosław Racieński, Edward Kabisz: *Encyklopedia Dzikiego Zachodu*. Videograf II. Katowice 1996, stron 152, cena 24 zł.



Pierwowzór literacki filmu Bruce'a Beresforda *Blackrobe* (Czarna Suknia) o misji jezuitów wśród Huronów i Algonkinów na początku XVII wieku. Opowieść o Indianach leśnych, jakich dotąd nie znaliśmy; opowieść o zderzeniu dwóch zupełnie różnych systemów filozoficznych i religijnych; o miłości, posłuszeństwie i wierze.

Brian Moore: *Czarna Suknia*. Graffiti Ltd. Kraków 1992, stron 224, cena 5 zł.



Kolorowy komiks autora goszczącego już na łamach „Tawacina”.

Jarosław Gach: *Biały Orzeł*. Wyd. Akcydens. Poznań 1996, stron 52, cena 4 zł.

„TAWACIN” Z LAT UBIEGŁYCH

Dostępne są tylko numery:
1993 24 po 1,50 zł.
1994 27 po 1,90 zł.
1995 31 i 32 po 2,90 zł.

Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej.
Prosimy o przedpłatę na konto:

Marek Maciołek, TIPI
ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez pocztę i bank, realizacja zamówień może trwać do 2 tygodni.

Prosimy podawać czytelnie i dokładnie adres oraz na odwrocie przekazu tytuły zamawianych książek. Przekazy nie opisane traktować będziemy jako dotację na „Tawacin”. Nie przysyłać pieniędzy w listach!

POCZTÓWKI Z WIZERUNKAMI SŁYNNYCH INDIAN

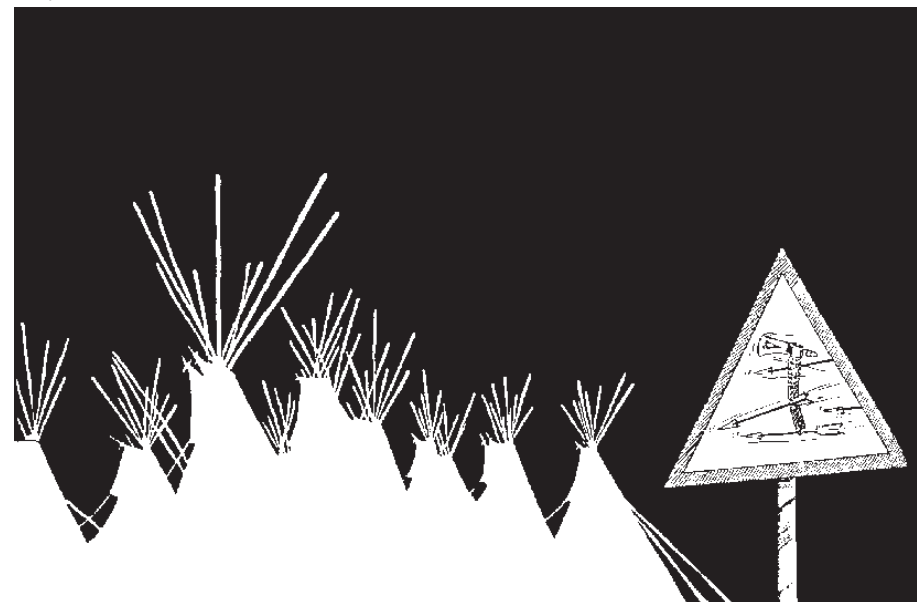
Low Dog (Oglala)
Chief Joseph (Nez Perce)
Lone Wolf (Kiowa)
Kicking Bird (Kiowa)
Wolf Robe (Cheyenne)
Quanah (Comanche)
Rain in the Face (Hunkpapa)
Sitting Bull (Hunkpapa)

Komplet 8 szt. kosztuje 3 zł 20 gr.
Pojedynczo – 50 gr/szt.

W następnych numerach:

- Algonkinowie
- Indiańskie używki
- Szałas potu
- Taniec w życiu Indianina
- Indiańskie domy i mieszkania

Z cyklu: XX Złot PRPI



WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie. Cena jednego numeru wynosi razem z wysyłką 3 zł. Prenumerata roczna 12 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Cena wynosi wtedy następująco:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1996 r.
1	3,00	12,00
2-3	2,80	11,20
4-8	2,60	10,40
od 9	2,40	9,60

Wpłaty należy kierować na konto:

TIPI, MAREK MACIOŁEK
UL. ŁĄKOWA 3
64-050 WIELICHOWO
GBW-BS W WIELICHOWIE
NR 963549-56531-2706-2

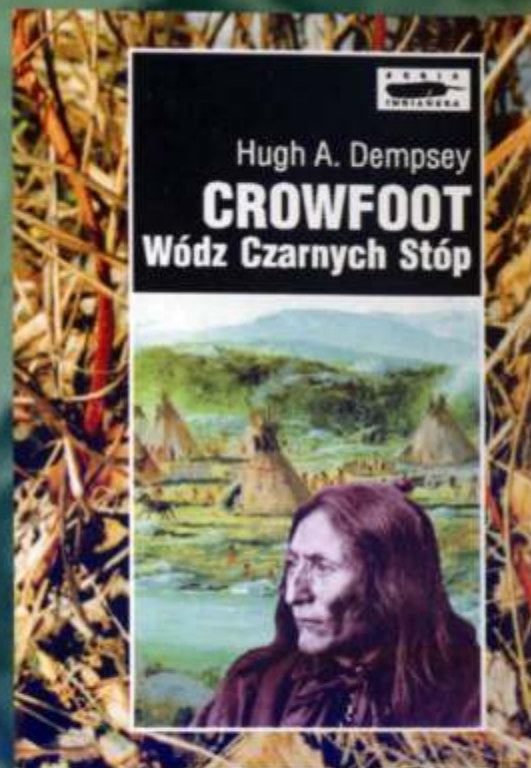
Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

Wydawnictwo
„AKCYDENS”
proponuje
kolejny tom
SERII INDIAŃSKIEJ

Zainteresowanych prosimy o wpłatę
przekazem na adres wydawnictwa:
Wydawnictwo „AKCYDENS”
61-045 Poznań, ul. Kruszwicka 2a,
lub na konto bankowe
WBK Oddz. I w Poznaniu
nr 356325-17952-136-72

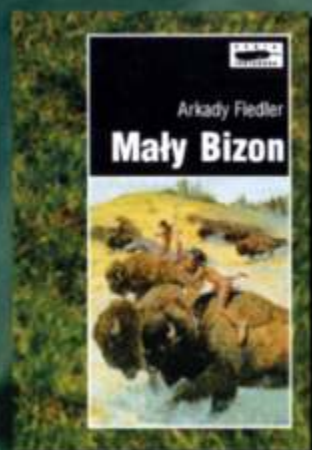
lub

TiPI, Marek Maciolek
ul. Łakowa 3, 64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2



18 zł

Dotychczas ukazały się



16 zł



13 zł